



*Miłość, śmierć
i nowojorskie wieże 11 września.
Połączenie fikcji i faktów.
Przejmujące, wspaniałe,
jak zawsze u Doctorowa
od czasu RAGTIMEU.*

HANNA KRALL

E.L.DOCTOROW UMYSŁ ANDREW

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI

E.L.DOCTOROW UMYSŁ ANDREW

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ SŁAWOMIR STUDNIARZ


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
ANDREWS BRAIN

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Dorota Wojciechowska

Copyright © 2014 by E.L. Doctorow
Copyright © for the Polish translation by Sławomir Studniarz, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-083-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

I

Mogę ci opowiedzieć o moim przyjacielu Andrew, który jest kognitywistą. Ale to nie będzie przyjemne. Któregoś wieczoru stanął z dzieckiem na ręku pod drzwiami swojej byłej żony, Marthy. Ponieważ jego druga żona, młoda śliczna Briony, nie żyła.

Na co umarła?

Dojdziemy do tego. Nie daję rady sam, oznajmił Andrew, gdy Martha przyglądała mu się z progu. Akurat tego dnia prószył śnieg i uwagę Marthy pochłonęły miękkie płatki opadające niczym puszyste stworzonka na daszek jego czapki z emblematem nowojorskich Jankeśów. To cała Martha, urzekały ją marginalne zjawiska, sprawiała wtedy wrażenie, jakby w myśli układała do nich muzykę. Nawet w zwykłych okolicznościach reagowała powoli, patrzyła i przewracała niespiesznie ciemnymi wylupiastymi oczami. Potem pojawiał się uśmiech, kiwnięcie albo potrząśnięcie głową. Tymczasem z głębi domu napływało ciepło i okulary Andrew zaszyły mgłą. Stał z zaparowanymi okularami niczym ślepiec w czasie śnieżycy, zupełnie bezwolny, aż Martha w końcu wyciągnęła ręce i delikatnie wzięła od niego opatulone niemowlę, zrobiła krok do tyłu i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Gdzie to było?

Martha mieszkała w New Rochelle, na przedmieściach Nowego Jorku, w dzielnicy okazałych domów zbudowanych w różnych stylach: angielskim z okresu Tudorów, wczesnych osadników holenderskich, greckiego odrodzenia modnego za czasów młodej republiki amerykańskiej. Wzniesione przeważnie w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku, stały cofnięte od ulicy, schowane wśród drzew, głównie wiekowych klonów norweskich. Andrew pobiegł do samochodu po nosidełko, walizkę i dwie plastikowe torby wypełnione przyborami do karmienia i pielęgnacji niemowlęcia. Martha, Martha! Ona skończyła pół roku i ma już imię, wołał, waląc w drzwi. Przyniosłem jej akt urodzenia, otwórz drzwi, Martha. Ja się jej nie wyrzekam, po prostu potrzebuję wsparcia, tylko odrobiny wsparcia!

Drzwi otworzyły się i w progu stanął mąż Marthy, potężne chłopisko. Postaw to wszystko na ziemi, Andrew, powiedział. Andrew wykonał polecenie i zwalisty mąż Marthy wetknął mu

w ręce dziecko. Zawsze musisz wszystko spieprzyć, oświadczył zwalisty mąż Marthy. Przykro mi z powodu śmierci twojej młodej żony, ale podejrzewam, że miałeś w tym swój udział, że zginęła przez jakiś twój głupi błąd, niedopatrzenie, któryś z tych twoich eksperymentów myślowych albo synne roztargnienie wielkiego intelektualisty, w każdym razie przez coś, co dobitnie przypomina nam wszystkim o twoim darze sprowadzania na swoich bliskich nieszczęścia.

Andrew posadził dziecko w nosidełku stojącym na ziemi, podniósł je i ruszył z powrotem do samochodu. Szedł wolno, a mimo to omal nie stracił równowagi na śliskim chodniku. Ulokował nosidełko na tylnym siedzeniu, przypiął je pasem i poszedł po resztę rzeczy. Zebrał je i zaniósł do samochodu. Kiedy już się upewnił, że wszystko jest należycie zabezpieczone, zamknął drzwi, wyprostował się, odwrócił i ujrzał Marthę, która wyszła do niego z szalem zarzuconym na ramiona. Niech ci będzie, powiedziała.

[zastanawia się]

Mów dalej...

Przypomniało mi się coś, co przeczytałem o patogenezie schizofrenii i choroby dwubiegunowej. Biolodzy badający mózg uporają się z tym za pomocą sekwencjonowania genów, wychwytywania zmian w genomie. Nadadzą numery i litery tym małym białkowym, teleologicznie nastawionym draniom. Tu obetną literkę, tam wstawią cyferkę i proszę: choroba staje się uleczalna. Więc miej się na baczności, doktorku, z tą twoją terapeutyczną gadaniną.

Nie przesadzaj.

Wierz mi, wylądujesz na bezrobociu. Cóż innego pozostało nam, spożywającym owoce z drzewa wiedzy, niż powierzyć swe jestestwo biologii? Zapomnij o bólu, ciesz się dłuższym życiem. Chcesz mieć dodatkowe oko, powiedzmy, z tyłu głowy? Da się zrobić. Wstawić ci odbył w kolano? Nie ma sprawy. Doczepimy ci nawet skrzydła, chociaż raczej nie oderwiesz się od ziemi i zamiast latać, będziesz pędzić, podskakując, sadząc susy, jak pasażerowie na ruchomych chodnikach na lotniskach. A właściwie skąd wiadomo, że Bóg sobie nie życzy, żeby ktoś ulepszył jego schrzaniony, niedowarzony projekt życia, nie traktując go jako stanu nie do naprawienia? Postęp to jego plan awaryjny, mechanizm ratujący przed katastrofą. Bóg działa przez Darwina.

Więc Martha w końcu przygarnęła to dziecko?

Myślę też o tym, jak rozkładamy się w gnijących trumnach i wcielamy się na nowo: maleńkie najpierwotniejsze skrawki naszego organizmu wsysane są przez ślepą dżdżownicę, która potem, sama nie wiedząc dlaczego, wypelza na powierzchnię wilgotnej ziemi i ginie nadziana na ostry dziób strzyżyka. Hola, to moja tożsamość zapisana w strzępach genomu wysrana w locie ląduje z plaśnięciem na gałęzi drzewa i zwisa z niej jak namoknięta gaza. I oto stałem się składnikiem pokarmowym walczącego o przetrwanie drzewa. Nie wiem, czy wiesz, ale to prawda, że te zastygłe, wrośnięte w ziemię organizmy naczyniowe w milczeniu walczą ze sobą, żeby się utrzymać przy życiu, zupełnie tak jak my. Drzewa walczą o to samo słońce, o tę samą ziemię, w której zapuszczają korzenie, i rozrzucają nasiona, które wyrosną w lesie na ich wrogów, jak książęta w starożytnych imperiach obracający się przeciwko własnym koronowanym ojcom. I wcale nie są tak do końca nieruchome. Gdy wzmaga się wiatr, rozpoczynają taniec rozpaczy, okryte obfitym listowiem kołyszą się, wznosząc ku górze ramiona w geście bezsilnej wściekłości, niepokodzone z własną istotą... Cóż, to ledwie żabi skok, przejście

od antropomorfizmu do omamów słuchowych, głosów odzywających się w głowie.

Słyszysz głosy?

Wiedziałem, że to cię zainteresuje. Zdarza mi się, kiedy zasypiam. Właściwie po tym poznaję, że zasypiam – słyszę głosy. I zaraz się budzę. Nie chciałem ci o tym mówić, no i proszę, sam się wygadałem.

Co mówią?

Nie wiem. Dziwne rzeczy. Tak naprawdę wcale ich nie słyszę. To znaczy, to na pewno są głosy, tyle że nieme.

Nieme głosy.

Owszem. Jakbym słyszał znaczenie słów, które są wypowiedane bezgłośnie. Słyszę tylko znaczenie, ale wiem, że to są słowa wypowiedane przez różnych ludzi.

Kim są ci ludzie?

To nieznajomi. Jedna dziewczyna prosiła mnie, żebym się z nią przespał.

Cóż, to normalne. Takie sny przytrafiają się mężczyznom.

To nie był sen. Poza tym nie znałem tej dziewczyny. Miała długą letnią sukienkę do kostek. I buty do biegania. Blade piegi pod oczami sprawiały, że jej twarz wydawała się opromieniona słońcem, mimo że stała w cieniu. Jej uroda przyprawiała o dreszcze! Wzięła mnie za rękę.

To raczej nie sam głos, a tym bardziej niemy głos.

Wydaje mi się, że kiedy słyszę znaczenie, w myślach dorabiam do niego odpowiednią ilustrację.

Czy możemy wrócić do Andrew, tego kognitywisty?

Niechętnie przyznaję, że głosy słyszę również za dnia, kiedy zajmuję się zwykłymi sprawami. A właściwie dlaczego miałoby to kogoś dziwić? Pewnego ranka, na przykład, stoję na światłach, z gazetą i kawą, które kupilem po drodze w barze. Patrzę, za ile sekund włączy się zielone. I nagle słyszę: „Jak już tam sterczysz, to może byś naprawił siatkę w drzwiach”. Wydawało się to tak rzeczywiste, tak bardzo przypominało prawdziwie rozbrzmiewający głos, że obejrzałem się za siebie. Nikogo za mną nie było, stałem przy przejściu zupełnie sam.

A jaką ilustracją opatrzyłeś tę uwagę?

To były słowa starszej kobiety. Umieściłem siebie w jej kuchennych drzwiach, na jakiejś zapuszczonej farmie, gdzieś w zachodniej Pensylwanii. Na podwórku stała półciężarówka z otwartą skrzynią. Kobieta miała na sobie spłowiałą roboczą suknię i stała przy zlewie. Spojrzała na mnie bez śladu zdziwienia i wypowiedziała te słowa. Przy kuchennym stole siedziała dziewczynka i rysowała coś kredką świecową. Czy była jej wnuczką? Tego nie wiedziałem. Popatrzyła na mnie i znów zabrała się do rysowania, lecz tym razem zaczęła zaciekle gryzmolić kredką po całej kartce – z jakiegoś powodu niszczyła swoje dzieło.

Ten Andrew, twój przyjaciel, kognitywista, który zaniósł niemowlę do domu swojej byłej żony Marthy, to w rzeczywistości ty?

Tak.

I twierdzisz, że miałeś sen i w tym śnie uciekałeś, aż dotarłeś do jakiejś podupadłej farmy na odludziu i stanąłeś w progu przy rozwalonych drzwiach z siatką?

To mi się nie śniło. Słyszałem głos. Nie słuchasz mnie uważnie. Ten głos przypominał mi,

co się ze mną działo, kiedy umarło moje pierwsze dziecko, moje i Marthy, a wraz z nim moje życie u boku Marthy. Odczuwałem przemożną potrzebę ucieczki. Nieważne dokąd. W Port Authority wsiadłem w pierwszy lepszy autobus, jaki się napatoczył. Zasnąłem, a kiedy się obudziłem, przedzieraliśmy się przez wzgórze zachodniej Pensylwanii. Zatrzymaliśmy się przed biurem podróży w jakimś miasteczku, wysiadłem, żeby rozprostować kości. Była druga czy trzecia w nocy. Obzedłem cały rynek, wszystko było pozamykane: drogeria, sklep z drobiazgami do domu, warsztat ramiarski, kino, a także zajmujący całą pierzeję rynku budynek sądu, zbudowany w stylu przypominającym romański. Pośrodku połaci pokrytej zeszlą brązową trawą wznosił się połyskujący zielonkawoczarny pomnik przedstawiający mężczyznę na koniu, postawiony tam dla upamiętnienia wojny secesyjnej. Kiedy doszedłem z powrotem do biura podróży, okazało się, że autobus odjechał. W dalszą drogę ruszyłem więc pieszo. Za granicami miasta przeciąłem tory kolejowe, minąłem jakieś składy i magazyny. Kilka kilometrów dalej – zaczynało już świtać – zobaczyłem zaniedbaną, obskurną farmę. Poczulem głód. Ruszyłem w stronę budynku. Dookoła było ciemno i glucho, podszedłem do kuchennego wejścia. Stałem przy drzwiach z siatką. I zobaczyłem w środku dziewczynkę i starszą kobietę, dokładnie tak, jak je sobie wyobraziłem, a przynajmniej tak mi się zdawało. I to ta gospodyni odezwała się w mojej głowie tego ranka, kiedy stałem z kawą i gazetą na przejściu w Waszyngtonie, czekając na zmianę światła.

Więc mówisz, że gnałeś, gdzie cię oczy poniosą, aż stanąłeś pod drzwiami na jakiejś zapuszczonej farmie w Pensylwanii, którą sobie wcześniej wymyśliłeś?

Nie, cholera jasna. Wcale tak nie twierdzę. Naprawdę wsiadłem do autobusu i tam pojechałem. Wszystko się zgadza, zapyziałe miasteczko, mała farma na odludziu. Kiedy tam dotarłem, zobaczyłem te dwie w środku, starszą kobietę i dziewczynkę z kredkami. Pod lampą na suficie wisiał lep na muchy, cały upstrzony przyklejonymi owadami. To było jak najbardziej rzeczywiste. Ale nikt nie kazał mi naprawiać siatki w drzwiach.

Nie?

Sam zaofiarowałem się, że to zrobię. Byłem głodny i zmęczony. Na farmie wyraźnie brakowało męskiej ręki. Uznałem, że jeśli zrobię coś pożytecznego, pozwolą mi się umyć, nakarmią mnie. Nie chciałem jałmużny. Więc uśmiechnąłem się i powiedziałem: Dzień dobry. Chyba się zgubiłem. Widzę, że drzwi się wam rozlatują. Mogłbym je naprawić w zamian za filiżankę kawy. Zauważyłem, że drzwi się nie domykają, górny zawias jest wyrwany, siatka wisi luźno. Jako ochrona przed owadami drzwi się nie sprawdzały, stąd przyczepiony do przewodu na suficie lep na muchy. Widzisz więc, że to nie nadprzyrodzona wizja przywiodła mnie do tego miejsca. Wybrałem się w podróż autobusem, zobaczyłem na własne oczy farmę i jej dwie lokatorki, a potem wyparłem to ze świadomości, aż do tego ranka, kiedy stałem na skrzyżowaniu w Waszyngtonie, obserwując malejącą błyskawicznie liczbę sekund pozostałych do włączenia się zielonego światła, i usłyszałem...

Pracowałeś wtedy w Waszyngtonie?

...tak, jako doradca rządowy, ale nie wolno mi zdradzać szczegółów – i usłyszałem głos tej starszej kobiety powtarzającej słowa, które wypowiedziałem, stając pod jej drzwiami. Tylko że w jej wydaniu zabrzmiały bardziej napastliwie – jakbym umożliwił jej wgląd w mą żalostną egzystencję. Ich wymowa była mniej więczej taka: „Jak już tam sterczysz, to może choć raz

przydałbyś się na coś i naprawił te drzwi?”. W twoim podręczniku można znaleźć określenie na tego rodzaju doświadczenie, prawda?

Tak, ale nie wiem, czy mamy na myśli ten sam rodzaj doświadczenia.

Wyobraź sobie, że też mamy swoje podręczniki. Twoją dziedziną jest umysł, a moja mózg. Ciekawe, czy kiedykolwiek się połączą. Ta wyprawa uświadomiła mi jedną ważną rzecz – pograżyłem się dostatecznie głęboko, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że cokolwiek zrobię, obróci się przeciwko tym, których kocham. Masz pojęcie, co to za uczucie, Panie Terapeuto, siedzący sobie wygodnie za biurkiem w ergonomicznym fotelu? Nie umiałem z góry przewidzieć naddciągającej katastrofy. Wyglądało na to, że choćbym nie wiem jak się starał, to i tak stanie się coś strasznego. Wsiadłem do tego autobusu, żeby uciec, było mi wszystko jedno. Chciałem zawiesić swoje życie na kolku, ograniczyć się do codziennych błahych spraw niewymagających myślenia. Nie powiem, żeby mi się to udało. On mi to dobitnie uświadomił.

Kto?

Zwalisty mąż Marthy.

Kiedy Andrew wszedł do domu, zobaczył, że zwalisty mąż Marthy wkłada płaszcz i kapelusz, a Martha zanosí dziecko na górę, ściągając mu z główki kapturek i rozpinając kombinezon. Andrew przyjrzał się przestronnemu, gustownie urządzoneму wnętrzu, znacznie okazalszemu niż to, w którym on i Martha wiedli małżeńskie życie. Korytarz wyłożony był ciemnym parkietem. Kątem oka Andrew dostrzegł po lewej stronie przytulny salon z wyściełanymi meblami, kominek, w którym palił się ogień, a na ścianie portret jakiegoś rosyjskiego cara – tak przynajmniej wtedy uznał – w długiej szacie, z prawosławnym krzyżem na szyi i w koronie, która wyglądała jak wyszywana czapka. Po prawej mieścił się gabinet z regałami pełnymi książek i czarnym steinwayem Marthy. Schody wznoszące się zgrabnym łukiem wyłożone były czerwoną wykładziną, z mosiężnymi prętami biegnącymi wzdłuż przednóżków. Martha wchodziła po nich z dzieckiem na rękach, nie opierając się o mahoniową poręcz. Miała na sobie spodnie. Andrew zauważył, że zachowała zgrabną figurę, i oddał się kontemplacji, czego nie czynił od lat, kształtu i prężnej siły jej pośladków. Palto zwalistego męża Marthy miało zaokrąglone watomane ramiona, rozszerzane rękawy i szalowy kołnierz. Nikt już nie nosił takich płaszczy. Kapelusz, sztywny i szykowny, był tak ciasny, że głowa zwalistego męża Marthy ledwo się w nim mieściła.

Idź z nim, Andrew, poleciła, nie odwracając się, Martha, tym samym cichym władczyim tonem, którym zwracała się do niego, kiedy byli małżeństwem.

Andrew pobiegł do samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Odetchnął z ulgą, kiedy zwalisty mąż Marthy wcisnął się w fotel. Ruszyli do ulubionego pubu zwalistego męża Marthy, który w drodze wydawał mu bezsłowne komendy, pokazując na skrzyżowaniach w prawo lub w lewo i wyznaczając miejsce na parkingu, kiedy już dojechali na miejsce. Pub mieścił się w galerii handlowej. Andrew liczył na rozmowę, miał nadzieję, że dojdą do porozumienia – w końcu łączyło ich doświadczenie pożycia małżeńskiego z tą samą kobietą – lecz kiedy usiedli przy barze z drinkami w wysokich szklankach z rżniętego kryształu i Andrew czekał, aż zwalisty mąż Marthy się odezwie, ten uparcie milczał. Więc Andrew zwrócił się do

niego mniej więcej takimi słowami:

Wszystko, co usłyszałeś na mój temat, to prawda. Rzeczywiście straszliwym zrządzeniem losu uśmierciłem dziecko, moje i Marthy, naszą małą dziewczynkę. W dobrej wierze podawałem jej lekarstwo, które – jak byłem święcie przekonany – zapisał jej nasz pediatra. Aptekarz przez pomyłkę przysłał inny środek, a ja nie zachowałem należytej czujności, pracowałem tego dnia nad moją rozprawą z kognitywistyki, spędziłem kilka godzin w laboratorium, poza tym zebrania w pracy, i tak dalej. Sumiennie podawałem jej lekarstwo zakraplaczem do maleńkiej buźki co dwie godziny przez całą noc, aż przestała płakać i umarła. Nie zdawałem sobie sprawy, że umarła, myślałem, że wreszcie zasnęła. Byłem zmęczony i położyłem się – mnie przypadł obowiązek zajmowania się chorym dzieckiem, ponieważ Martha była wykończona, cały dzień prowadziła zajęcia, mistrzowską klasę fortepianu, poza tym byłem przecież facetem. Obudziły mnie wrzaski Marthy, brzmiały nieludzko, jakby w leśnej głuszy ryczał jakiś dziki zwierz, którego łapa uwięzła w potrzasku, nawet nie żaden obecnie żyjący zwierz, tylko jakiś jego prehistoryczny przodek.

Zwalisty mąż Marthy, wpatrując się w błękitne lustro za barem, oświadczył: Wiesz, co robi zwierzę, żeby się uwolnić, kiedy łapa zatrzasknie mu się w potrzasku? Odgryza sobie łapę. Tylko że w ten sposób się okalecza, nie jest potem w stanie o siebie zadbać ani prowadzić normalnego życia.

Mówisz o Marcie, stwierdził Andrew.

Tak. Ale ja też doznałem trwałego uszczerbku, zakochując się i poślubiając kobietę, której nieuleczalna trauma nie pozwala wykonywać swojego zawodu. A zawdzięczamy to Wielmożnemu Andrew Samozwańcowi.

Tym właśnie dla ciebie jestem, Wielmożnym Andrew Samozwańcem?

Owszem. Którego podszyta dobrymi intencjami, łagodna, życzliwe usposobiona, uroczą nieudolność jest w istocie sposobem działania najbardziej śmiertelności z zabójców. Napijmy się jeszcze po jednym.

Kiedy Andrew uniósł szklankę, żeby szybko dopić drinka i móc spłacić swój dług moralny wobec zwalistego męża Marthy, wypijając z nim następnego, na którego wcale nie miał ochoty, szklanka wyszłiznęła mu się z ręki. Próbując ją złapać, Andrew zahaczył mankietem o miseczkę z orzeszkami i zrzucił ją z kontuaru. Działając pod nagłą presją poprawienia dwóch błędów naraz, przegrał na obu frontach: cała zawartość szklanki, na którą składały się też kostki lodu i plasterk limonki, wylądowała na podłodze, a orzeszki posypały się kaskadą wprost na kolana zwalistego męża Marthy.

Czuleś się urażony tym, co powiedział zwalisty mąż Marthy? Zdenerwowałeś się?

Nie. To śpiewak operowy, a opera to sztuka, która opiera się na niepoahamowanych uczuciach. Coś się wydarzy, a oni śpiewają o tym godzinami. To, co powiedział, co wyraził swym bas-barytonem o wspaniałym, onieśmielającym, prawdziwie carskim wydzwiewku, było prawdą. Nie mogłem się obrazić ani rozzłościć, nie tylko dlatego, że sam dobrze wiedziałem, do czego jestem zdolny, ale przede wszystkim z powodu cezury dzielącej mi mózg – to za jej sprawą takie ogólnie uznane cnoty jak honor do mnie nie przemawiają. Jestem bez honoru. W głębi

duszy, o ile w ogóle ją posiadam, zachowuję doskonałą obojętność wobec swoich postępków. Cień żalu z powodu zmarłego dziecięcia, zmarłej żony, z powodu wszystkich nieopatrznie roznieconych pożarów, wszystkich klęsk, do których doprowadziłem, każe mi we śnie gnać tam, gdzie nie będę mógł nikogo skrzywdzić, ale na jawie nie dopuszczam do siebie poczucia winy.

Jednak po tym straszliwym doświadczeniu, jakim musiała być dla ciebie śmierć dziecka, wsiadłeś do autobusu i dojechałeś aż do zachodniej Pensylwanii. Zgadza się? Chyba że ci się przysniło? To chcesz mi powiedzieć?

Nie, wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak ci opisałem.

W takim razie na jawie też uciekałeś, tak samo jak we śnie. Ktoś, kto nie dopuszcza do siebie poczucia winy, tak się nie zachowuje.

Takie odruchy czasami się pojawiają, ale jeszcze o niczym nie świadczą. Na tle ogólnego stanu umysłu mają znaczenie marginalne. To resztki człowieczeństwa, jakie jeszcze się we mnie tłą.

Rozumiem.

Bo prawda jest taka, że wszystko spływa po mnie jak po kaczce. Mimo życzliwości, mimo starań, żeby być dobrze nastawionym do ludzi i uczynnym, to w istocie, na dobre czy na złe, jestem pozbawiony uczuć. W głębi mego jestestwa, cokolwiek by się działo, pozostaję niewzruszony, nietknięty przez wyrzuty sumienia, przez żal czy radość, mimo że potrafię udawać tak dobrze, że udaje mi się nabrać nawet siebie samego. Próbuję powiedzieć, że to przerażające, ale ostatecznie jestem niezdolny do uczuć. Moja dusza pogrążona jest w niezmaczonej, głębokiej, pięknej, bezuczuciowej, zimnej toni milczenia. Lecz ja wiem lepiej. W gruncie rzeczy jestem zabójcą. A do tego jeszcze nie potrafię sam wymierzyć sobie kary, odebrać sobie życia z rozpaczony nad spustoszeniem, które się wokół siebie, które dotyka bezbronne niemowlęta, kochane przeze mnie kobiety. I tego właśnie nie mógł pojąć zwalisty mąż Marthy; potępił mnie, ludząc się zapewne, że wreszcie przejrzał na oczy i ze sobą skończyę. [zastanawia się] Oczywiście, nigdy bym się nie targnął na własne życie.

Więc Martha znów miała dziecko, zastąpiło jej córeczkę, którą straciła.

Nie myślałem o tym w ten sposób. Nie zamierzałem oddawać dziecka na zawsze. Potrzebowałem pomocy. Martha miała się zaopiekować dzieckiem przez rok, może dwa lata. Ja jeszcze nie doszedłem do siebie po śmierci Briony. Ale Martha przywłaszczyła sobie dziecko, jakby była jego prawowitą matką.

Miałeś jej to za złe?

Nie byłem w stanie się wyklócać. Czy mam ci to wyłożyć łopatą? Jak krowie na pastwisku? Uśmierciłem już jedno dziecko. Miałem wykończyć następne? Tego byś chciał? W każdym razie kiedyś ją odzyskam. Ma piękne, jasnoniebieskie oczy. Takie same jak jej matka.

Czy zwalisty mąż Marthy słusznie obwiniał cię o śmierć żony?

Nie jestem za to tak do końca odpowiedzialny.

To znaczy?

Miałem w tym udział, ale tylko pośredni. Bezpośrednia przyczyna była inna.

Co się stało? Zmarła w trakcie porodu?

Nie to miałem na myśli.

W jaki sposób umarła?

Nie chcę o tym rozmawiać. [zastanawia się] Mogę ci za to powiedzieć, że po tym, jak doprowadził do śmierci swego pierwszego dziecka, Andrew wyjechał na zachód, gdzie objął kiepsko płatne stanowisko adiunkta w stanowym college'u, o którym nigdy wcześniej nie słyszał.

Dlaczego?

A jak ci się wydaje? Bo był daleko, na drugim końcu kraju. Bo po rozwodzie Martha lubiła wystawać przed jego domem, czekając, aż wróci z pracy. Zaciągała się papierosem, rzucała go na ziemię, rozgniatała niedopałek i odchodziła.

Więc w jej oczach ponosiłeś wyłączną winę za śmierć dziecka? Nikt inny nie był winny?

Na przykład kto?

Chociażby aptekarz. Myślałeś o oddaniu sprawy do sądu?

O Boże, ty najwidoczniej nie zdajesz sobie sprawy, że w następstwie takiego nieszczęścia społeczna rzeczywistość ulega zatarciu. Mózg rozpala świadomość, że to, co zrobiłeś, jest nieodwracalne. Pozywać kogoś? Czy w ten sposób można znaleźć odkupienie? Co bym na tym zyskał? Pieniądze? Jezu, po co ja w ogóle z tobą rozmawiam? Czy wystąpienie na drogę sądową przywróciłoby dziecku życie? Poza tym kogo mielibyśmy pozwać? Pediatrę, który wystawił receptę przez telefon? Aptekarza, który ją wypisał? Chłopca, który doręczył lek? W którym miejscu został popełniony błąd? Kogo należałoby pozwać? Przecież mogłem przeczytać nazwę na opakowaniu. Siebie samego powiniennem podać do sądu. To ja podawałem lek. Tak to widziała Martha. To była wyłącznie moja wina, nikogo innego.

A ty się z nią zgodziłeś.

Zgodziłem się. Cały ja.

I tak Andrew znalazł się na dobrowolnym wygnaniu w stanowym college'u położonym u stóp pasma górskiego o nazwie Wasatch. Z początku podobały mi się te góry. Przyjechałem w pierwszych dniach września, u schyłku wciąż jeszcze ciepłego lata, a na szczytach gór utrzymywał się pozostały po zimie śnieg. To dawało mi właściwe poczucie świata, w jakim żyjemy, świata pierwotnego, w którym nie ma miejsca dla człowieka. Takie wrażenie się odnosi, kiedy tylko wyjedzie się z miasta. Amerykanie uwielbiają urządzać sobie wypadki do tego świata.

Co dokładnie masz na myśli?

Jazdę na nartach, surfowanie na grzywach fal, spływy po pienistych rzekach. Takie wypadki, gdzie jedynym twoim oparciem jest wiatr. Darmowe atrakcje, jakie zapewnia nasza planeta. Są na wyciągnięcie ręki, grzech nie skorzystać.

Rozumiem. Więc zmiana środowiska okazała się dla ciebie zbawienna.

Niezupełnie. Widać, że nigdy nie żyłeś w sąsiedztwie gór. To one rządziły miasteczkiem. Dotarło to do mnie już na drugi czy trzeci dzień. Wstawaleś rano i miałeś je przed oczami. Zajeżdżałeś na stację paliwo i miałeś je przed oczami. Wznosiły się znieruchomiełe w swym ogromie, nie było na nie mocnych. Przytłaczały cię. Decydowały, ile światła do ciebie przepuścić.

Nie rozumiem.

Przepuszczały światło, chłoneły je albo odbijały, wedle własnego widzimisię. Taka góraska biurokracja, na którą nic nie można poradzić. Nawet słońce miało niewiele do gadania. College

wynajmował mieszkanca dla przyjezdnych wykładowców w miejscowym motelu. Aneks kuchenny, blat z laminatu. Okleinowane meble. Rdzawo-turkusowe zasłony mające kojarzyć się z dziedzictwem kulturowym rdzennych mieszkańców tych stron. To też była sprawka gór – nakłaniały do korporacyjnego stylu życia. Moja obecność w college'u wynikała z podejmowanych przezeń nieśmiałyh prób poszerzenia oferty edukacyjnej. Stanowiłem jednoosobowy zakład studiów nad mózgiem. Nie miałem z kim porozmawiać. Koledzy z uczelni, o ile mogę tak określić tych uprzemyh i pełnych rezerwy belfrów, okazali się nudziarzami. Byłem opuszczony i nieszczęśliwy.

Pewnego dnia, kiedy Andrew przechodził obok budynku sali gimnastycznej, z wyglądu przypominającego bardziej hangar, przez otwarte drzwi dojrzał trenujących lekkoatletów – skoczków ćwiczących skoki w dal, wzwyż albo o tycze, płotkarzy, miotaczy – oraz gimnastyków wykonujących akrobacje na koniu, obręczach, równoważni, batucie. Przejęcie i skupienie każdego z nich na wykonywanym przez siebie zadaniu, wszyscy bowiem poruszali się w zupełnym oderwaniu od innych, po własnej odrębnej orbicie, przywodziło mu na myśl skupisko kreślących w powietrzu esy-floresy cząsteczek DNA i gdyby odczekał dłuższą chwilę, te skaczące i kołujące esy-floresy ułożyłyby się w podwójną helisę genetycznego kodu. Szczególną jego uwagę zwróciła blondynka kołysząca się w przód i w tył na drążku, ubrana w jednoczęściowy kostium kąpielowy, jak na oko się wydawało. Miała w sobie więcej człowieczeństwa niż pozostali, jakby autentycznie czerpała przyjemność ze swoich wygibasów. To kołysanie się stanowiło przygotowanie do właściwego ćwiczenia – kiedy się rozhuściła, stanęła na drążku na rękach, zatrzymała się wyprostowana jak struna, po czym, zastygając na chwilę w najwyższym punkcie, z wolna zaczęła kręcić się wokół drążka, najpierw w tył, a potem w przód, niczym oszalała wskazówka zegara. Andrew nie chciał wyjść na podglądacza, więc szybko ruszył dalej, kiedy gimnastyczka kończyła swój pokaz efektywnym zeskokiem i wykonawszy pełen obrót dookoła własnej osi, wylądowała na ziemi w półprzysiadzie, z wyciągniętymi w bok ramionami.

Właśnie sobie przypomniałem, że widziałem kiedyś kobietę, która zrobiła fikołka w powietrzu; po prostu wybiła się i wygięła do tyłu, opadając zgrabnie na bosc nogi. Trudno uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

Gdzie to widziałeś?

W jakiejś sali tanecznej: wybiła się w powietrze nie z podwyższenia, lecz z podłogi, złapała się za kostki, wygięła kręgosłup i w pięknym stylu zrobiła salto w tył. Miała na sobie męski prążkowany podkoszulek bez rękawów i obszerne marszczone majtki. W ogóle nie zależało jej na moim uznaniu, nawet nie spojrzała w moją stronę. Niewysoka, ciemnowłosa kobieta, z wyglądu nieciekawa, pamiętam, że miała kształtne łydki i szczupłe stopy, które rozszerzały się w okolicach śródstopia. Facet, z którym była, jej domniemany impresario, który namówił mnie do obejrzenia tego numeru, podszedł do mnie i zapytał, co o nim sądzę. Musiałem mu powiedzieć, że trzeba go trochę podrasować. W końcu sam fikołek trwa tylko kilka sekund.

Trzeba wzbogacić program, tłumaczyłem mu. Dlaczego mu to powiedziałem? Jaki miałem w tym interes?

Marszczone majtki? To ci się śniło?

Później dowiedziałem się, że facet regularnie dosiadał tej dziewczyny. A że bym się przekonał na własne oczy, kazano mi popatrzeć przez okno sąsiedniej sypialni; widziałem, jak ją ujeżdża, rozplaszczając ją swoim ciężarem.

Więc to jednak był sen.

Widzę, że bardzo ci zależy na tym, żeby to był sen. Jeśli tak, musiałby mi się przyśnić po tym, jak zobaczyłem Briony ćwiczącą na drążku. Lecz jeśli widziałem tę scenę wcześniej, zanim przenieśliem się na Daleki Zachód, to miała miejsce na jawie. Spędziłem trochę czasu w Europie Wschodniej, lecz skąd ty miałbyś o tym wiedzieć? Studiowałem przez rok w Pradze. Nie mieli forsę, ci Czeši. Za to mieli na karku ogromną Rosję, która ich pilnowała. Agenci ich własnej bezpieki lubili wyskakiwać zza krzaków w jasnoniebieskich kombinezonach i pstrykać zdjęcia ludziom siedzącym na ławkach w parku. Przebywałem też trochę na Węgrzech, w Budapeszcie. Jest tam taka ulica, którą przemieszczała się druga wojna światowa, najpierw w jedną stronę, kiedy Niemcy nacierali, a Rosjanie się cofali, a potem w przeciwną, kiedy Rosjanie nacierali, a Niemcy się cofali. Wojna przetaczała się tam i z powrotem, tą samą ulicą. A na placu, w pobliżu pewnego liceum, była zbiorowa mogiła, czaszki i kości udowe pod warstwą darni. Więc może wcale mi się to nie przyśniło. Z drugiej jednak strony nie pamiętam żadnych konkretnych okoliczności towarzyszących tym obrazom, a takie rzeczy raczej zapadają w pamięć. Więc może ten fikolek jednak mi się przyśnił. Mogę jedynie stwierdzić, że kiedy sobie o nim przypominam, ukazują mi się ciemne, kiepskiej jakości obrazy, niczym rozedrgany niemy film, którego akcja toczy się w obskurnym pomieszczeniu ze zniszczoną podłogą i brudnymi oknami. W niezmiernych, niebosiężnych przestrzeniach demokratycznego Dalekiego Zachodu coś takiego nie mogłoby się pojawić nawet we śnie. Z kolei wątek gimnastyczny kojarzący mi się z Briony przypomina mi teraz, jacy byliśmy od siebie odlegli, nie tylko wiekowo i społecznie. Różniły nas przede wszystkim poglądy na życie, a dokładniej to, czego od niego oczekiwaliśmy, a co wynikało wprost z natury, jaką mu przypisywaliśmy.

Co przez to rozumiesz?

To było niesamowite, wewnętrzny blask rozświetlający twarz tej uroczej, tryskającej życiem studentki miał stać się dla mnie kluczem do zrozumienia własnej, skrytej w mroku egzystencji oraz wydarzenia, które być może rozegrało się przed laty w zapuszczonym studiu tanecznym, dokąd zaprowadzono mnie, że bym zobaczył kobietę w majtkach i podkoszulku, zmieniającą się w locie w żywy pocisk.

Więc spotkałeś się z nią potem, z tą wysportowaną studentką?

Ta studentka miała imię, jak wiesz.

Briony.

Moja przyszła żona.

Na pierwszych zajęciach z podstaw nauki o mózgu, kiedy Andrew pisał na tablicy swoje imię, złamała mu się kreda. Zdążył tylko napisać „And”, a gdy odwrócił się w ślad za zabląkanym

kawałkiem kredy, który śmignął mu obok ucha, potrafił pulpitem, zrzucając na podłogę wszystkie leżące na nim książki. Studenci wybuchnęli śmiechem. I wtedy, w tej jaskrawo oświetlonej sali, do której przez okna zaglądały przytłaczające góry, siedząca w pierwszej ławce Briony wstała z krzesła i podniosła z podłogi książki i odłamek kredy. Różniła się od pozostałych tym, że zamiast dżinsów ubrana była w długą bladożółtą sukienkę na ramiączkach, chociaż buty miała takie jak wszyscy – sportowe. To zestawienie wywołało na jego twarzy uśmiech. Była szczupłą ślicznotką o włosach barwy dojrzalej pszenicy i jaśniutkiej cerze, jakby rozświetlał ją uwięziony w niej blask słońca. Andrew podziękował jej za pomoc i rozpoczął wykład. Siedziała w tej długiej sukience i adidasach zwróconych do siebie czubkami, z głową pochyloną nad laptopem, i słuchając uważnie jego słów, jak na pilną studentkę przystało, skrzętnie notowała. Wyobraził sobie jej nogi zakryte suknią.

I wtedy zdał sobie sprawę, że to dziewczyna, którą widział ćwiczącą na drążku.

Dzień dobry, moi mili słuchacze. *Dzień dobry, bladożółta kiecko, i wam też, buty do biegania.* Dzisiaj zaczniemy zgłębiać istotę świadomości, podłoże wszelkiego znaczenia, konieczny i wystarczający warunek języka, zaczątek wszystkich powitań. Świadomość – *nie to, co przeciwstawia światu ten tępak z oczami jak szparki, rozwalony na krzesle obok ciebie* – to coś, co pozostaje, gdy odrzucisz wszystkie uprzedzenia, wyrzekniesz się uczuć, wymażesz rodzinę, szkołę, kościół i naród, czynniki, które kształtowały twą istotę... wyzbędziesz się balastu cywilizacyjnych zdobyczy, przetniesz przewody wszystkich obwodów, nawet te łączące cię z procesami zachodzącymi w ciele, z pracą jelit, ze wszystkim, do czego twój organizm się ślini, co wywołuje w nim pieczenie, co toczy zeń krew czy łzy, nawet ze skrzypieniem w stawach, kiedy zrywasz się na nogi – *porzuć, nawet wbrew sobie, tę kontemplację mego jestestwa, które chłoniesz z zapartym tchem i rozchyłonymi ustami, jakież oddźwięk wzbudza w tobie mój głos, jakże mój wzrok przenicowuje twoje intymności* – i szybujesz swobodny i bez zobowiązań w swym wirtualnym czarnym, bezgwiezdnym kosmosie. Nie masz się czego uchwycić, nie ma nic, do czego mogłaby się odnieść twoja myśl, ani obrazu, ani dźwięku, ani zapachu, żadnego fizycznego doznania. Nie jesteś w żadnym miejscu, ty jesteś miejscem. Nie jesteś tutaj, jesteś wszędzie. Nic cię z niczym nie łączy. Nic innego nie ma. Jedyne, o czym możesz pomyśleć, to ty myślący. Tkwisz w bezbrzeżnej jedności swej własnej duszy.

O, urocza akrobatko, nie można wykluczyć, że w gruncie rzecz jesteśmy niematerialnymi istotami, ledwie prądami w oceanie molekuł. Lecz nie trać ducha! Niech twoje szalone pragnienia sprowadzą cię z powrotem na ziemię, pogodzą z kulturą, obowiązkami obywatela, potrzebami ciała. Ze mną. Tak wiele mogę ci przekazać! A miłość to wstrząs mózgu, który zagłusza w nas wrażliwość na rozpacz.

To nie przypomina mi Andrew, jakiego znam.

Kiedy prowadzę zajęcia, staję się innym człowiekiem.

Więc poraziło cię.

Cóż, przyznaję, że nie potrafiłem się oprzeć. A ona naprawdę była cudowna. To taka zmiana w sercu, wiesz. To, co do tej pory uznawałeś za życie, okazuje się jedynie grą cieni na ścianie jaskini.

Jaskini?

Nie czytałeś Platona, doktorku. Chodzi o miejsce, gdzie żyje większość ludzi, biorąc je za prawdziwy świat w słońcu świat, a tymczasem to tylko jaskinia rozświetlona migotliwymi błyskami iluzji. Briony żyła w pełnym słońcu. A ja z napalonego zbereźnika błyskawicznie przeistoczyłem się w żarliwego wielbiciela, a potem, kiedy sprawy wzięły naprawdę zły obrót, uświadomiłem sobie, że nie mogę bez niej żyć.

Dzień dobry, moi mili słuchacze. *Dzień dobry, różowe kolano i mignięcie pochylego uda pod włożoną dzisiaj krótką dżinsową spódnicą.* Po ostatnim wykładzie mogliście dojść do przekonania, że moje rozważania są czysto teoretyczne, że oczywiście bez świata nie ma istnienia, a zatem i umysłu w oderwaniu od świata. Świadomość bez świata jest niemożliwa, tak jak widok bez światła, w którym można go zobaczyć. Czy tak właśnie przedstawiają się twoje zastrzeżenia, *moja droga? Pochylasz się nad laptopem, opadające włosy okalają twarz.* Cóż, przyjrzyjmy się temu twojemu realnemu namacalnemu światu. Ma on swą wyznaczoną arenę w przestrzeni, ta zaś dawno, dawno temu zdołała wykształcić życie. Jak dotąd wszystko ładnie, pięknie. Zważ jednak, wygląda na to, że nie ma warunku koniecznego czy wystarczającego do zaistnienia życia, pojawia się ono bez względu na okoliczności. Można by pomyśleć, że potrzebuje powietrza, lecz nie potrzebuje, można by pomyśleć, że niezbędny mu wzrok, słuch, sprężysty sus, umiejętność pływania, latania, czepiania się ogonem gałęzi, ale tak nie jest. Życie nie musi przybierać określonego kształtu, osiągać określonej wielkości, pobierać określonych składników z mineralnego wszechświata, życie może powstać z niczego. Może występować w wodzie, na drobinie kurzu, w lodzie i we wrzątku, może mieć oczy albo uszy, lecz równie dobrze może się obyć bez nich, może mieć układ trawienny, lecz może się obyć bez niego, może mieć zdolność ruchu, lecz może się obyć bez niej, może mieć zdolność czucia, lecz może obyć się bez niej, a nawet jeśli jest obdarzone inteligencją, może jej mieć drastycznie mało, *jak na przykład ten przysypiający tępak, któremu zawsze udaje się zająć miejsce obok ciebie i któremu przy ziewaniu oczy zupełnie giną w fałdach skóry, zauważyłaś, moja truska-turkaweczko?* Zatem pod względem taksonomicznym życie nie zna ograniczeń, jest tylko jedna właściwość wspólna całej jego nieskończonej różnorodności – czy to rybam, muchom, żukom gnojnym, roztoczom, glistom czy bakteriom – jedna właściwość, która określa wszystkie jego rozumne i bezrozumne przejawy: żalosna wola przetrwania. Z czego oczywiście nic nie wychodzi, *prawda, moja wełnista ślicznotko*, albowiem jeśli da się w ogóle jakoś zdefiniować życie w jego nieskończenie zróżnicowanych postaciach, to można jedynie stwierdzić, że karmi się samo sobą. Pożera siebie. Nie brzmi to zbyt pocieszająco, jeśli uzależniasz świadomość od świata. Prawda? Jeśli świadomość istnieje bez świata, jest niczym, a jeśli potrzebuje świata, żeby istnieć, też jest niczym.

Tak przedstawiały się moje eksperymenty myślowe wprowadzające do kursu – na początek ukazanie elementarnej beznadziejności filozofii, a następnie szukanie ratunku u pierwszych myślicieli, którzy próbowali sobie z nią radzić – Emerson, William James, Damasio i inni. Ale musiałem wyrzucić na słuchaczach przynębiające wrażenie.

A ten tępak, co to był za jeden?

Właściwie nie stanowił dla mnie konkurencji. Tyczkowaty, niemrawy, czarne włosy zaczesane na mokro do tyłu, w stylu Tarzana. Gwiazda uczelnianej drużyny futbolowej. Nie miał u niej żadnych szans, odkąd ja pojawiłem się na horyzoncie.

A „wełnista ślicznotka”?

Ach, tak mi się wymasknęło. Odezwało się wspomnienie mojej dziewczyny z liceum, która miała tam na dole obfite owłosienie. Nie Briony. Briony, która uprawiała gimnastykę w obcisłym kostiumie ze spandeksu, dla wygodę przycinała sobie futerko.

Wśród studentek sporo było blondynek o typowej dla Zachodu urodzie, krzykliwe zwracającej na siebie uwagę, lecz zdradzającej pustkę umyslową albo przebiegłość. A może po prostu ich twarze zbyt dobitnie zapowiadały, że ta uroda szybko przeminie. Briony miała delikatne rysy, jej wygląd dyskretnie wskazywał na szlachetne pochodzenie, można by sądzić, że odpowiednim otoczeniem byłaby dla niej rodowa siedziba w Cotswolds, a może sztetał w dawnej Polsce. Traf chciał, że często widywałem ją na kampusie. Na rowerze, w kolejce w stołowiec studenckiej, w gronie przyjaciół. Czy to coś oznaczało? Za każdym razem, kiedy wchodziła do klasy, uśmiechała się na powitanie. Zapytałem, czy nie zgłosiłaby się na ochotnika do doświadczenia laboratoryjnego, i zgodziła się. Więc pewnego ranka założyłem jej na tę śliczną głowę siatkę elektrod – oczywiście nie zgoliłem jej włosów, to był tylko prosty pokaz elektrycznej aktywności mózgu, a nie poważny eksperyment naukowy – mogłem przy tym odgarnąć jej długie włosy za uszy. Napawałem się jej nieskazitelną świeżością. Miałem wrażenie, jakbym przeniósł się na nasłonecznioną łąkę. Zrobiłem jej podstawowy wykres pracy mózgu na starym aparacie do EEG, który przywiozłem ze sobą. To takie urządzenie przypominające wykrywacz kłamstw, prymitywne, ale użyteczne dla celów kursu podstaw nauki o mózgu. Pokazywałem jej różne obrazki i odnotowywałem nagle skoki na wykresie, mogłem stwierdzić, co budziło w niej lęk, co przywoływało wspomnienia, obserwowałem jej nagle uświadomiony głód, podniecenie pod wpływem seksualnych skojarzeń. Chodziło o demonstrację, elementarne zagadnienia, celem badania nie było umiejscowienie poszczególnych obszarów w mózgu. Studenci przyglądali się i dowcipkowali. Tępak stał w pobliżu, z kretyńsko wyniosłym uśmiechem na gębie. Postanowiłem, że go obleję, choć to i tak nie miało większego znaczenia. Ale ja widziałem w tych wykresach więcej niż studenci. Wtargnąłem w intymność Briony w dużo większym stopniu, niż gdybym zobaczył ją nagą. To nie było zwyczajne podglądactwo, to była penetracja mózgu, choć trzeba przyznać, że prowadziła bardziej do fantazji podstarzałego wykładowcy niż zasadnych wniosków uczonego.

Co takiego zobaczyłeś?

Jeden z obrazków przedstawiał miniaturowy cyrk. Konferansjer w bryczesach i w cylindrze, woltyżerki w krótkich spódniczkach na grzbietach galopujących dookoła areny

kucyków, zwieszająca się z trapezu para akrobatów w kostiumach o takim samym wzorze. Kiedy pokazałem go Briony, pisak o mało nie wyskoczył za krawędź kartki. Prawdę mówiąc, zaniepokoiło mnie, że radosne wspomnienia z dzieciństwa wciąż mogą wywoływać aż tak silną reakcję.

A do tego jeszcze udręka nieodłącznie związana z wybraną przeze mnie dziedziną nauki. Głęboko poruszył mnie artykuł na temat eksperymentu dowodzącego, że mózg potrafi podjąć decyzję kilka sekund wcześniej, niż pojawia się ona w naszej świadomości.

To byłby cios. Ty się z tym nie zgadzasz?

Łatwo byłoby te wyniki kwestionować, wysuwać zastrzeżenia: „Chwileczkę. Czy można powtórzyć badania? Zweryfikować je?”. Lecz do głosu doszedł mój własny mózg i oszpecił, że solidaryzuje się z tymi wnioskami. Wkrótce naukowcy przeprowadzą kolejne, bardziej skomplikowane eksperymenty i potwierdzą, że wolna wola to iluzja.

Ale przecież...

Zdarzyło mi się kiedyś przerwać wykład i wyskoczyć z czymś, czego zupełnie nie planowałem – brzmiało to jak wstęp do kursu kognitywistyki, którego jeszcze nie opracowałem... [zastanawia się]

Co takiego wtedy powiedziałeś?

Słucham?

Z czym wyskoczyłeś przed studentami?

Postawiłem pytanie: jak mogę pomyśleć o moim mózgu, skoro to mózg odpowiedzialny jest za myślenie? A zatem czy mózg udaje, że jest mną myślącym o mózgu, czyli o sobie? Nikomu nie potrafił już zaufać, a tym bardziej sobie. Jestem powstałą w tajemniczych okolicznościach świadomością i żadna to dla mnie pociecha, że są miliardy innych. To właśnie oświadczyłem studentom, po czym zebrałem swoje książki i wyszedłem z sali.

Hmmm.

Jak mam rozumieć to „Hmmm”? Pamiętasz, dlaczego wielki Heinrich von Kleist odebrał sobie życie? Naczytał się Kanta, który orzekł, iż nigdy nie poznamy rzeczywistości. Heinrich powinien przyjechać tutaj, na zachód. Nie popełniłby samobójstwa. W tych stronach rozpacz intelektu jest wykluczona. To za sprawą tutejszych gór i nieba. Miejscowej drużyny futbolowej.

Czyli ze swoim intelektualnym kryzysem okazałeś się wybrykiem natury.

Na następne zajęcia przyszła tylko jedna osoba – Briony. Poszliśmy do klubu studenckiego na kawę. Wyglądała na zmartwioną, przyglądała mi się, marszcząc współczująco brwi. Teraz, kiedy jej obraz staje mi przed oczami, uzmysławiam sobie, że nie popisywała się tak jak inne młode dziewczyny, które wciąż rozczesują palcami włosy, a to związuje je ręką, a to rozpuszczają, cały czas wykonują drobne gesty świadczące o skupieniu na sobie. Z Briony rzecz miała się inaczej; siedziała bez ruchu, ze spokojem zanurzona w teraźniejszości, wolna od narcystycznych ciągot. Semestr dopiero co się rozpoczął i studenci mogli jeszcze rezygnować z jednych zajęć i zapisywać się na inne. Briony zdawała sobie sprawę, że mogą mieć kłopoty. Czekala mnie przykra rozmowa z dziekanem, lecz w tamtej chwili, kiedy miałem przed sobą tę cudowną istotę, zupełnie mnie to nie obchodziło. Siedziałem z grobową miną i rozkoszowałem

się jej współczuciem. Wyciągnęła w moją stronę rękę, jakby zamierzała mnie pogłaskać. Nie chciała dopuścić do tego, bym pomyślał, że ma mnie za dziwaka. Należała do tego rodzaju osób, które uważają za swój obowiązek zabawiać rozmową nawet trędownatego.

Chciałbym poznać jej tło środowiskowe.

Jej tło środowiskowe, i moje zresztą też, stanowiły góry Wasatch.

Nie. Chodzi mi o...

Chcesz wiedzieć, skąd wzięło się to niezwykle dziecię, kim byli jej rodzice, z jakiej rodziny się wywodziła?

Owszem.

Czy to ważne? W filmach nie mówi się, gdzie dorastali bohaterowie, chyba że są to filmy o dorastaniu. Nie wiadomo skąd pochodzą, z kim są spokrewnieni. Odbierasz ich tak, jak są tobie dani, w chwili obecnej. Masz przejmować się ich losem ukazany na ekranie, znasz tylko określony wycinek życia. Są tylko oni, bez historii, bez przeszłości.

Czy to jest film?

To jest Ameryka. Kiedyśmy się już zapoznali, wybraliśmy się na wyprawę w góry, Briony i ja. Wystarczyło pójść do końca ulicy, a zaraz rozpoczynał się szlak turystyczny. Góry Wasatch bez przerwy dają o sobie znać – nawet kiedy odwracasz się do nich plecami, nawet kiedy odjeżdżasz w przeciwnym kierunku, wciąż czujesz ich obecność. Ich wygląd nieustannie się zmienia, zależnie od ilości przepuszczanego światła, ale także od temperatury, jakby niezmiennie obecne barwą wyrażały swój nastrój, niczym rodzina kamiennych bogów; niewysokie pasmo o postrzępionych turniach, jedno szczyty niższe, inne wyższe, lecz wszystkie ze sobą połączone, sojusz sędziwych potęg, poznaczone szlakami, nieustępliwe wobec zalegającego gdzieś tam zabójczego śniegu, albo beztrudnie ożywione wiosennym listowiem, bladymi odcieniami zieleni i granatu iglaków, z zachowanymi jeszcze żółtobrazowymi pozostałościami ubiegłego roku. Ich stoki odchylały się, wznosiły się do majaczących na niebie wierzchołków wygięte w tył, jakby w odrzucie przed czymś, czego dopuściliśmy się my uniżeni wyznawcy, albowiem jeśli pomieszkałeś trochę w tym miasteczku, docierało do ciebie, że to góry tu rządzą, biorą cię we władanie, otaczają ze wszystkich stron i czynią sobie poddanym. Briony w białych spodenkach, z butelką wody przyцепioną do paska, z włosami związanymi w długi koński ogon przeciągnięty przez otwór w czapce baseballowej i opadający na plecy, w butach trekkingowych i skarpetach do kostek, odsłaniających jędrne, zaokrąglone łydki; Briony, pełna energii, śmigająca przede mną jak kozica. Ponieważ starałem się za nią nadążyć – chwilami bałem się, że przede mną ucieka – nie mogłem w pełni rozkoszować się widokiem jej nóg i cudowności jej obcisłych spodenek, kiedy pokonywała przeszkody na trasie, opierając się ręką o ziemię, łapiąc się skał; i tak wspinaliśmy się coraz wyżej, a ścieżka coraz bardziej przypominała kolejne ezoteryczne etapy wtajemniczenia w buddyjską akceptację prawdziwego stanu rzeczy, takimi, jakie są, kiedy się o nich nie mówi.

Tak tylko pytałem.

Brakuje ci empatii, nie wiesz, kiedy przestać drążyć. Nie masz pojęcia, jak się czułem, mając ją u boku i ani na chwilę nie zapominając o tej mojej zgubnej w skutkach nieudolności. O tym, że największe zagrożenie stwarzałem właśnie wtedy, kiedy przepelniała mnie błoga szczęśliwość. Nie mogłem sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi, musiałem obserwować

swoje działania, skupiać się na codziennych błahostkach, pilnować się nieustannie, z nabożeństwem traktując wszystko, co robiłem, żeby nie wyjść na Andrew Samozwańca, kukłę samą zwołującą się człowiekiem. Nie mogę dłużej tego ciągnąć, to dla mnie zbyt bolesne. Ty nic nie rozumiesz. Samo wypowiadanie jej imienia mnie dobija. Już nie słyszę jej głosu.

Ty, ze swoim szczególnym darem?

Potrąfił przywołać w pamięci głosy zmarłych przed laty rodziców. Słyszę wyraźnie głosy ojca i matki, choćby przez krótką, ulotną chwilę. A tak naprawdę słyszę ich wydźwięk moralny. Praktyczność matki. Smutne wycofanie ojca. W zapamiętanych głosach umarłych pobrzmiwa ich wydźwięk moralny. To właśnie po nich pozostaje, kiedy odchodzą, coś, co wyraża ich etyczną istotę, jedyny utrzymujący się ślad ich osoby.

Ale jej głosu, głosu Briony, jak twierdzisz, nie potrafisz przywołać? Nie słyszysz go? Może to dlatego jakoś nie mogę jej sobie wyobrazić. Docierają do mnie twoje spostrzeżenia, co myślisz i czujesz na jej temat, lecz brzmienie twojego głosu wydaje się stać na przeszkodzie. Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć poza tym, że była zapaloną gimnastyczką? Podobno jako główny kierunek studiowała matematykę? Jedno z drugim się łączy, gimnastyka z matematyką. Uprawianie geometrii na poręczach.

Kto ci powiedział, że studiowała matematykę? Skąd o tym wiesz?

Przecież sam...

Jesteś z CIA czy co?

No wiesz, Andrew.

Po co ja właściwie z tobą gadam?

Mam wrażenie, że Marthę dość dobrze poznałem z twoich opisów jej zachowania. Lecz z Briony mam kłopot, wymyka mi się.

Briony była młoda, dopiero się stawała. Bystra w swej niewinności. Naturalna. Nie dawała po sobie poznać, że uważa się za piękność. Lubiała fizyczną bliskość, jak dorastające dzieci. Kiedy coś ją zainteresowało, oddawała się temu z niekłamana pasją. Miała ulubione książki, ulubione zespoły. Pilnie się uczyła. Potrafiła napisać poprawne gramatycznie zdanie – wiesz, jaka to rzadka umiejętność na studiach licencjackich? Wierzyła w siebie, w przyszłość.

Rozumiem.

Martha to bycie, Briony to stawanie się. Co z ciebie za analityk, że trzeba ci tłumaczyć takie oczywiste rzeczy? Cechuje cię bezdusznosc właściwa komuś, kto doświadcza życia za pośrednictwem innych. To właśnie teraz robisz, żyjesz moim życiem. Jestem wodą na twój młyn. Jezu! Nie masz własnego życia?

Właściwie nie.

Nie mogę się połapać w datach. Kiedy się pobraliście, ty i Briony?

Nie wzięliśmy ślubu.

Mówiłeś, że była twoją żoną.

Oczywiście, że była moją żoną, ale nie wzięliśmy ślubu. Nie przyszło nam to do głowy. W naszym związku pozostaliśmy na etapie zauroczenia, który trzeba przejść, żeby stać się małżonkami w oczach prawa. We własnym odczuciu byliśmy sobie poślubieni. Nie

potrzebowaliśmy nikogo, żeby to urzędowo potwierdził. Byliśmy Andy i Bri. Pewnej soboty wybrałem się na mecz uczelnianej drużyny futbolowej; czirliderki zbudowały żywą piramidę, na jej szczycie stanęła oczywiście Briony, która na koniec występu z rozpostartymi ramionami skoczyła w dół na ręce koleżanek.

Mogłem się domyślić...

Na boisku był również tępak, w kasku i ochraniaczach. Naradzał się z resztą swjej drużyny, a potem, spoglądając lekceważąco na obrońców, z niewzruszoną pewnością siebie zagrywał piłkę i sprawnie kierował dalszą akcją. Widziałem, jak rzucał piłkę wysoko w powietrze, a ta, kreśląc idealną spiralę, wpadała prosto w ręce odbierającego. Przyłożenie. Dwadzieścia tysięcy widzów zerwało się na równe nogi i ryknęło jednym głosem. Uczelniana orkiestra zagrała triumfalny marsz, jakiś bałwan przebrany za małpę odtańczył dżiga przed trybunami, i zrozumiałem, że jestem świadkiem jakiejś plemiennej uroczystości o wielkiej sile oddziaływania; jeśli miałem wyrwać Briony z jej szponów, musiałem wymyślić jakiś sposób.

Pamiętam, jak stwierdziłeś, że tępak nie miał u niej żadnych szans, odkąd ty pojawiłeś się na horyzoncie.

Cóż, byłem przecież Andrew, którego ciemne oczy wyrażały bezbrzeżny smutek. Nawet kiedy na wykładzie głosiłem obrazoburcze tezy, pałały bezgłośnym wołaniem o pomoc. Briony odbierała to tak, jakbym wystawiał na pokaz własne „ja”. Bezbronność wykładowcy stojącego za pulpitem stanowiła w jej studenckim życiu zupełnie nowe doświadczenie. Obserwowała mnie, śledziła z uwagą. [zastanawia się] Już w liceum zorientowałem się, że mam powodzenie u płci pięknej. Moją pierwszą dziewczyną była miłośniczka zoologii z liceum przyrodniczego w Bronksie. Mówiła, że mam oczy langura. Po szkole chodziliśmy do niej do domu i migdaliliśmy się, korzystając z nieobecności rodziców.

Miałeś powodzenie dzięki oczom langura.

No i bujnej czuprynie, miałem wtedy ładne, kręcone włosy. To, co z nich pozostało, to cień dawnej wspaniałości. Zawsze uchodziłem za na swój sposób przystojnego, mimo cofniętego podbródka. Przybierałem też odpowiednią pozę. Przemądrzały cwaniaczek o miękkich ruchach, który wszystko i wszystkich ma w nosie. Prawda jest taka, doktorku, że działałem na kobiety. Ale z Briony było inaczej. Poraziło mnie. Nagle zresetowały mi się neurony i odkryłem w sobie ogromną zdolność do miłości. Kiedy już zamieszkaliśmy razem i Briony zaszła w ciążę – wybraliśmy się wtedy na kolację do restauracji, żeby to uczcić – Briony przyznała mi się, że dla niej to też było odkrywcze doświadczenie: Andy, powiedziała, gdy cię zobaczyłam na zajęciach, uświadomiłam sobie, że czekałam na ciebie od dawna. I oto się zjawileś. Wydałeś mi się taki znajomy. Jakby to obecne życie było po prostu kolejnym, w którym się spotykamy.

Lecz wtedy, na górskim szczycie, wiedziałem jedynie, co ja czuję do niej. Musiałem postępować ostrożnie. Dowiedzieć się czegoś więcej, zanim przystąpię do działania. Choć czym miało być to więcej, nie miałem pojęcia. [zastanawia się]

Mów dalej.

Emil Jannings.

Słucham?

Nie chciałem okazać się Emilem Janningsem z *Błękitnego anioła*. Pamiętasz ten film? O profesorze, który beznadziejnie zakochuje się w artystce kabaretowej, Marlenie Dietrich,

i w końcu łąduje w jej niesmacznym numerze jako błazen piejący „Kukuryku!”. Rezygnuje ze wszystkiego, żeby ją poślubić, a ona, oczywiście, puszcza się na lewo i prawo. Traci wszystko, pracę, poczucie godności, rujnuje sobie życie. Pewnej nocy zakrada się do swojej sali wykładowej i umiera za biurkiem. Nie mów mi, że nie widziałeś tego filmu.

Nie widziałem.

Zostało mu tylko to biurko.

Rzecz jasna, nie mogłem porównywać Briony do zepsutej śpiewaczki kabaretowej z okresu Republiki Weimarskiej. Z drugiej strony, zdawałem sobie sprawę, jak łatwo mogę ściągnąć na siebie zgubę. Już widziałem, jak Briony patrzy na mnie stosownie ponurym wzrokiem, kiedy rzucam się z rozpostartymi ramionami w przepaść, wykonując tutejszy odpowiednik kabaretowego numeru profesora Janningsa. Kiedy usiedliśmy, żeby złapać oddech – właściwie to ja łapałem oddech – i zaspokoić pragnienie, powiedziałem jej, że niewiele osób zdołałoby mnie namówić na taką wspinaczkę.

Ależ, panie profesorze, to dobre dla zdrowia. Nie cieszy się pan, że doszedł na sam szczyt? Taka wspinaczka wyzwala w mózgu hormony szczęścia. Czuje się pan szczęśliwy?

Odparłem: Proszę, nie zwracaj się do mnie tak oficjalnie, „panie profesorze”, mów mi Andrew. Wszyscy studenci tak się do mnie zwracają.

Uśmiechnęła się. Dobrze, Andrew. Nie potrafię pa... cię rozgryźć, Andrew. Nigdy wcześniej nie spotkałam takiego mężczyzny.

To znaczy?

Sama nie wiem, nie nudzę się z tobą. Nie, to nie jest odpowiednie słowo. Ja nigdy się nie nudzę, mam tyle zajęć, że nie mam czasu na nudę...

To prawda, chodziła na wykłady, uprawiała gimnastykę, udzielała się jako czirliderka, podawała do stołu w restauracji dla wykładowców, a w weekendy brała dyżury w miejscowym domu starców.

...ale twoja pośepność, mówiła, sama nie wiem, to takie niezwykle, robi wrażenie. Masz taki szczególny sposób bycia. Jakbyś się duchowo obnażał przed studentami. Można by nawet uznać to za oznakę siły, jak u kogoś, kto dzielnie znosi ciężką chorobę. A u ciebie, czy ja wiem, to chyba po prostu kwestia braku złudzeń.

A ja odparłem: Briony, mam przeczucie, że jeśli to zajdzie tak daleko, jak bym sobie życzył, to w końcu z litości wyjdiesz za mnie za mąż.

Ale się wtedy śmiała! A ja razem z nią. Nie byliśmy już wykładowcą i studentką na wycieczce. Chyba zdała sobie z tego sprawę, bo umilkła i spojrzała w bok. Z namaszczeniem odkręciła butelkę z wodą i przyłożyła do ust. Dostrzegłem na jej gardle leciutkie zaczerwienienie. [zastanawia się]

Tak? Mówiłeś coś?

Nie, tak sobie rozmyślałem. Załóżmy, że powstałaby sieć komputerowa o możliwościach przerastających nasze najśmielsze marzenia.

Co to za pomysł?

Pamiętam, że rozmawiałem o tym z Briony, ciekaw byłem jej reakcji. Zresztą nie musi

to być cała sieć, wystarczy jeden niesamowity komputer. A ponieważ miałyby niesamowitą moc, założymy, że raz na milisekundę zapisywałyby czyny, myśli i uczucia każdej żyjącej osoby na świecie. Tak jakby całość egzystencji wprowadzić do niego jako dane, jakby zarchiwizować w nim wszystkie czyny, wszystkie myśli, wszystkie uczucia. Jak ludzki mózg przechowuje wspomnienia, tak ten komputer by je wszystkie zapisywał, czyli cofałby się do przeszłości, podążając jednocześnie za chwilą teraźniejszą w przyszłość.

To poważne wyzwanie, nawet dla komputera.

Nie dla tego cacka. Weź pod uwagę, doktoru, że są rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Codzienne biorę to pod uwagę.

Powiem ci coś, co może cię zdziwi: w genomie każdej ludzkiej komórki przechowywana jest pamięć. Wiesz, co to oznacza? Jako wysoko rozwinięte istoty nosimy w naszych genach wspomnienia zamierchłej przeszłości, dawnych pokoleń, wspomnienia cudzych doświadczeń. To nie są pomysły wzięte z księżycy, każdy neurobiolog ci to powie. Potrzebny jest tylko właściwy kod do tego, żeby wydobyć z komórki jej wiedzę, jej pamięć.

Brzmi poetycko.

To czysta nauka. Wymyślony przeze mnie superkomputer, który wchłaniałby w siebie całą umysłową i fizyczną działalność wszystkich żywych istot – uwzględnijmy też zwierzęta, dlaczego nie? – potrafiłby też przenikać w przyszłość i cofać do przeszłości równie łatwo, jak podąża za teraźniejszością. Zgodzisz się ze mną?

Niech ci będzie, Andrew.

A to oznacza, to oznacza...

Tak?

...że na podstawie wszystkich zapisanych cząstkowych danych i wspomnień zawartych w genomie dałoby się odbudować całą osobę, przynajmniej na poziomie mikrogenetycznym.

Nie chodzi ci chyba o klonowanie?

Nie, do cholery. Nie chodzi mi o klonowanie. Mówię o możliwościach komputera, który potrafiłby złamać kod każdej komórki mózgowej u wszystkich ludzi i odtwarzać zmarłych na podstawie ich zachowanych doświadczeń. To raczej przypomina reinkarnację, nie sądzisz? Może wynik nie byłby doskonały, może byłaby niewyraźna, może gdyby jej dotknąć, okazałaby się cieniem samej siebie, ale mimo wszystko byłaby obecna, a wraz z nią również miłość.

O kim mówisz?

Co mnie napadło, żeby opowiadać o tym Briony? Gdyby ten komputer odkrył kod umożliwiający odczytanie zawartości naszych komórek w chwili narodzin, w momencie śmierci, w popiołach skremowanych zwłok, w szczątkach gnijących w trumnach – a potrafiłby tego dokonać, biorąc pod uwagę jego niezwykle możliwości – wówczas moglibyśmy odzyskać utracone dzieci, ukochane osoby, wskrzesić je z martwych i połączyć się z nimi w tym ziemskim raju. Rozumiesz?

Cóż, rozważając czysto teoretycznie...

Jeśli przyjmiemy to założenie, całe rozumowanie logicznie jest bez zarzutu, zgadzasz się ze mną?

Zgadzam się.

Wciąż nie wiesz, czym byłby taki komputer? Och, doktoru, gdyby powstał taki

komputer, byłby absolutnie wszechmogący. Nie bójmy się go nazwać właściwym słowem. Mógłbym odzyskać córeczkę, moją i Marthy. Mógłbym znów być z Briony, wrócilibyśmy z dzieckiem do domu, jak prawdziwa rodzina.

II

Kazałeś mi codziennie prowadzić zapiski. Pisanie w pamiętniku to jak rozmawianie z samym sobą, a to właściwie robiłem w twoim gabinecie, doktorku. Więc co za różnica? Jestem na Północy, na wschodnim wybrzeżu: unosząca się dziś rano zimowa mgła wydawała się zamarać. Chodząc po polach, miałem wrażenie, jakbym przedzierał się przez powietrze, zostawiając za sobą brzęczące sopelki lodu i rozciągnięty zarys swojej sylwetki. Potrzeba mi takich miejsc. Czuję się tu bezpiecznie. Nie można przecież wykluczyć, że za każdym razem kiedy wchodzę do twojego gabinetu, ściągam na ciebie zagrożenie.

Teraz wieje silny wiatr. Nawiewa śnieg na moje okno, więc piszę przy zapalonej lampie. Nie mam nic do czytania, z wyjątkiem dzieł zebranych Marka Twaina należących do właściciela chaty, z inicjałami MT wyrytymi na popękanych grzbietach. MT znalazł sposób na życie – dorosłym tłumaczył dzieci, a dzieciom dorosłych. Czyż nie tak? Albo dowcipnie, z wyrozumiałością, wytykał wady swoim bliźnim. Ze względu na żonę chodził do idiotycznego kościoła. Zainwestował w linotyp, z którego nic nie wyszło. Kręcił się przy „bostońskich braminach”. Zręcznie wbijał szpile zadowolonym z siebie dżentelmenom słuchającym jego okolicznościowych przemówień. Punktował barbarzyństwo możliwych tego świata. Lecz zawsze, ale to zawsze otaczał się towarzystwem słuchaczy. Wygodnie mościł się w „osnowie rzeczywistości społecznej”, jak określa to Searle, facet, którego poglądy omawiam na wykładach.

O, właśnie w tej chwili, z hukiem głośnym jak grzmot, pędząca z wiatrem głupia mewa rozbiła się o szybę mojego okna. Patrzę w jej szkliste oko, gdy osuwa się w dół, rysując na zaśnieżonej powierzchni czerwoną smugę.

Innego dnia dostrzegam przez mgłę przygarbioną zieloną czaplę, sterczącą na kopcu. Skulone w sobie, posępne ptaszysko, nasz brat.

Później niebo się przejaśnia, wiatr burzy spienioną wodę, a mnie przychodzą na myśl ciepłe mokradła gdzieś na Południu, a w nich zatrzęsienie skaczących żab z Calaveras. Kiedy czyta się Twaina, sceny z jego opowieści same stają człowiekowi przed oczami. Lecz moim

zdaniem niepokorniony duch MT czerpie swą siłę z dzieciństwa spędzonego nad Missisipi i to on właśnie wyraża imperialistycznemu potworowi, do którego powstania sam się przyczynił.

Zauważam w jego prozie fragmenty świadczące o tym, że rozmija się z istotą życia, że jego zwykła czujność zostaje uśpiona, a tworzony przez niego samego wizerunek zwraca się przeciwko jego wyrazistej przyzwoitości. Kobieta, którą kochał, umiera, dziecko, które kochał, umiera, a on, przeglądając się w lustrze, z odrazą patrzy na pozory, jakie stwarzają siwe włosy i wąsy, biały garnitur, na całą tę kwintesencję mądrości dziadunia na bujanym fotelu na werandzie, malującą się w zapachniętych oczach. Doprowadza go do rozpaczmyśli, że świat jest jedynie złudzeniem, a on sam umysłem wędrującym bez celu i skutku przez wieczność.

Spójrzcie na mrówkę, powiada, jaka jest głupia i nieporadna, wlecie gdzieś skrzydło muchy, przeciąga je przez kamienie, które pojawiają się na jej drodze, wspina się na źdźbła trawy, bo nie wie, że można inaczej; i dokąd ona zmierza, zapytuje MT – donikąd, tam właśnie zmierza.

Innego dnia obserwuję na plaży rybołowa, zastygłego niemal nieruchomo nad oceanem; po pianistym brzegu przebiegają na szczudłowatych nóżkach piaskowce, podczas gdy nieopodal, pod powierzchnią wody, czai się skrzelołusk, czekając, aż odpływ zniesie mu ptaki prosto do zębatej paszczy.

To właśnie ty, Boże. A nie twierdziłeś czasem, że to Jonasz pędzi przez morza w gardzieli lewiatana? Stawia stopy na ozebrowaniu, tony ryb spływają mu pod nogami do trawienego kotła, a ciemność rozświetlają jedynie błyski ryb elektrycznych szukających wyjścia, na przekór pływowi, temu oceanicznemu siorbnięciu wywołanemu przez księżycową skałę, wzburzającemu oceany, kołyszącemu górami na podobieństwo wahnięcia metronomu, na przekór dziennemu obrotowi wirującej planety...

...planety, do której przywija nas wszystkich grawitacja: mnie, MT i mą baśniową piękność o włosach jak len, moją ukochaną, podczas naszej wyprawy na południe czytającą mi w świetle latarki o wołających o pomstę do nieba zniewagach, które MT tropił w jesieni życia, kiedy prawda jego dowcipu, zaprawiona żółcią, zdążyła skisnąć, bowiem w blasku księżyca był już dostrzegł, że niemożliwemu do zaakceptowania światu nie można skutecznie przeciwstawić się ostrzem satyry i kpiny.

Piszę więc do Ciebie, doktorku, żeby przyznać Ci rację: życie – które pozostaje nierozstrzygnięte, na zawsze nieukończzone, mimo że liczba ofiar jest niebotyczna – to nie film. Nie kojarzy mi się z odzianą na biało cesarżową ze sterzącym biustem, która lustruje straż przyboczną złożoną z legionistów z wyglądu całkiem podobnych do mnie, w spiczastych hełmach i nagolennikach, z tarczami i włóczniami, ani z żadnymi innymi pełnymi detali filmowych obrazami, które spowijają feerią barw duchy starożytnego imperium tak niewiele różniącego się od naszego świata.

A filmy z czasów niemego kina, jakież wydawały się dziwaczne: przemawiały do nas za pośrednictwem plansz z napisami, które przekazywały komunikat, zasłaniając przy tym obraz. Tajemniczy tłumacz pośredniczył między nami a światem cieni, w którym rozmawiali ze sobą ludzie w spiczastych hełmach, z tarczami, w czarnych krawatach, z cygarniczkami w rękę,

w białych satynowych sukniach wieczorowych ciasno opinających pośladki, podobni do nas, lecz tak niezmiernie od nas oddaleni, że nie mogliśmy dosłyszeć, co mówią, choć oni sami zdawali się słyszeć siebie doskonale.

To okropne, ile życia nam się marnuje; nie żyjemy odważnie, za pan brat z naszą planetą rozkoszy, planetą potężnych gór lodowych pękających z hukiem, tsunami zalewających wybrzeża, susz wyniszczających pola kukurydzy, wręcz przeciwnie, trzymamy się z dala od szczytów gór, otwartych mórz, tkwimy zamknięci w miastach, wraz z innymi pasażerami tłoczmy się w wagonie metra, chroniąc się parasolem przed deszczem, zatrzymujemy taksówkę, chodzimy do teatru, słuchamy Mahlera albo czytamy wiadomości i nie przejmujemy się nimi... te wiadomości zawsze dotyczą nieszczęść spadających na innych ludzi żyjących gdzie indziej. Tylko że to spotkało mnie. W końcu spotkało też mnie...

Bardzo ciekawe, Andrew. Zaskakujące.

No cóż, staję się innym człowiekiem, kiedy zaszywam się na odludziu.

A ja już niemal spisałem cię na straty.

Nie wiem, co ja tutaj z tobą robię.

Mogę ci opowiedzieć o tym, jak Andrew, jeszcze jako chłopiec, stanął pewnego zimowego popołudnia pod drzwiami koleżanki, żeby oddać lalkę, którą jej ukradł. Matka kazała mu po prostu zapukać do drzwi, nie tłumaczyć się w żaden sposób, nie zmyślać, że znalazł lalkę na ulicy, nie rozmijać się z prawdą, tylko zwyczajnie przyznać się, że zabrał ją po kryjomu, a teraz bardzo żałuje i obiecuje, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobi. Andrew posłuchał matki. Dziewczynka wyrwała mu lalkę z ręki i zatrzęsła mu drzwi przed nosem. Wracając do domu, Andrew poślizgnął się na oblodzonym chodniku i stłukł okulary.

Gdzie to było?

Montcalm w New Jersey. Małe miasteczko, nie tak zamożne jak sąsiadujące z nim Glen Vale. Stare jednolub dwupiętrowe domy, niektóre z przeszklonymi werandami, większość z zaniedbanymi frontowymi ogródkami i o wymagających odnowienia fasadach, które przezierały przez rachityczne drzewa rosnące wzdłuż ulicy. Łatwo było odróżnić Montcalm od Glen Vale – tam wszystko było barwniejsze, ogrody zadbane, drzewa rośniejsze, domy okazalsze, stojące od siebie w większych odstępach. W Ameryce zawsze widać, ile kto ma pieniędzy.

Dlaczego ukradłeś lalkę?

Żeby ją dokładnie obejrzeć. To była lalka płci żeńskiej, chciałem potwierdzić swoje podejrzenia.

Nosiłeś w dzieciństwie okulary?

Jestem krótkowidzem. Dlaczego pytasz? Próbuję przekazać ci coś ważnego. Nigdy mi się nie układało w życiu. Zawsze wpadałem w jakieś tarapaty. Wiesz, jak się zjeżdża na sankach na brzuchu? Biegiesz, trzymając je przed sobą, a jak się już rozpędzisz, rzucasz się do przodu i śmigasz.

Na sankach Flexible Flyer.

Brawo, doktorku, więc jednak jesteś z tego świata. W Montcalm nie było stoków z prawdziwego zdarzenia, ale ulica, przy której mieszkałem, zbiegała łagodnie w dół. Rozpędzaliśmy się na podjazdach, wykorzystując ich lekką pochyłość. W połowie podjazdu rzucaliśmy się na sanki, a potem, już na ulicy, skręcaliśmy lekko w prawo. Jeśli wykonałeś ten manewr zbyt gwałtownie, sanki wywracały się i łądowałeś na ulicy. Tamtym razem wcale zbyt ostro nie skręcałem, robiłem to stopniowo, kończyłem skręt już na środku jezdni. Muszę chyba wspomnieć o tym, że robiło się ciemno, powinienem być już w domu. O tej porze zwykle miało się zaczerwienione policzki, zasmarkany nos, brwi oblepione śniegiem, a rękawy i buty pełne lodowatej mazi. Usłyszałem klakson. Uniosłem głowę i ujrzałem zębatą kratownicę buicka. Hamujący samochód objechał mnie, obracając się przy tym o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jakby demonstrował pokazowy poślizg, najpierw znalazł się za mną, a potem znów przede mną, przez cały czas się obracając. Chwilę później uderzył w uliczną latarnię. Przez cały czas facet wcisnął klakson wydający te same dwa dźwięki oddzielone trzytonowym interwałem, jakby ogłaszał rozpoczęcie ważnej uroczystości; rozbity samochód już się nie poruszał, więc ten nieustający jazgot wydawał się zbędny, raził uszy. Zobaczyłem, że latarnia jest trochę przechylona. Podniosłem się i podszedłem bliżej. Samochód walnął w nią prawą stroną, głowa kierowcy opadła na kierownicę i naciskała klakson, ręce faceta zwieszały się bezwładnie. Rozumiesz?

Rozumiem.

Przenieśliśmy się do Nowego Jorku, do Greenwich Village. Ojciec mówił, że stamtąd będzie miał bliżej do pracy na Uniwersytecie Nowojorskim. Lecz ja znałem prawdziwy powód przeprowadzki; po tym wypadku naszą rodzinę uznano w Montcalm za *personae non gratae*. Dałem to ojcu do zrozumienia, lecz on odparł, synu, wielu chłopaków zjeżdżało wtedy na sankach, nie tylko ty, każdy z nich mógł wjechać pod koła tego samochodu. Po prostu wypadło na ciebie. Nie wierzył w to wyjaśnienie ani trochę, podobnie zresztą jak ja. Dobrze wiedział, że jeśli któryś z chłopaków miał spowodować śmiertelny wypadek, to właśnie ja.

Twój ojciec pracował na uczelni?

Był biologiem molekularnym. Mówił, że nauka jest jak poszerzający się snop reflektora, który rozświetla coraz to nowe obszary wszechświata. Lecz w miarę jak powiększa się oświetlone koło, rośnie też obwód otaczającej je ciemności.

Myslałem, że Einstein to powiedział.

W Nowym Jorku nie miałem kolegów, czułem się samotny, więc rodzice kupili mi pieska, jamnika. Powiedzieli, że moim obowiązkiem jest opiekowanie się nim, wyprowadzanie na spacer, uczenie posłuszeństwa. To ostatnie przedstawiało się nawet interesująco, byłem ciekaw, jak działa mózg takiego psiaka. Niewiele się dowiedziałem. Jamnik na równi z mózgiem posługiwał się nosem. Głównym zadaniem nosa/mózgu jest oczywiście rozpoznawanie zapachów. Zacząłem obserwować zachowanie innych psów w parku. Równie chętnie jak siebie nawzajem obwąchiwały urylnalne szyfry, jakimi znaczyły kamienne fontanny, pnie drzew, stoliki do gry w szachy. Do czego służyły im ślady moczu, pozostawało dla mnie tajemnicą. Może zawierały jakieś komunikaty, swoiste maile? Psy węchem odczytywały ich treść, sikały w odpowiedzi, i ruszały dalej. Wielu właścicieli wyprowadzało swoje psy do parku przy Washington Square. Był tam taki specjalny psi wybieg, w całym mieście wyznaczano obszary

przeznaczone do różnych konkretnych celów.

Przemawia przez ciebie prawdziwy nowojorczyk.

Na tym wybiegu mój szczeniak truchtający na swoich krótkich łapkach próbował włączyć się do zabawy. Przedstawiał zabawny widok, kiedy dreptał za jakimś ogromnym psem, który odwracał się i mijał go, pędząc w przeciwnym kierunku, zanim jamnik zdołał obrócić swój serdelkowaty tułów.

Jak się wabił?

Nie zdążyłem nadać mu imienia. Jakoś nie potrafił zaskarbić sobie mojego szacunku. Nie reagował na obelgi, a to stanowiło jawny dowód jego umysłowej tępoty. Nigdy się na mnie nie obrażał, choćbym szarpał z całych sił smycz, choćbym nie wiem jak mu nawymyślał. To się stało, kiedy wracałem z nim ze spaceru; szliśmy przez park, bo mieszkanie służbowe ojca mieściło się po zachodniej stronie Washington Square. Tamta część parku, dużo gęściej zadrzewiona, była ciemniejsza, cichsza, bardziej odludna. Ale nie zamierzam cię karmić historią rodem z *Tomka Sawyera*.

Tak też przypuszczałem.

Zobaczyłem pod ławką coś, co wyglądało na różową gumową piłeczkę firmy Spaldeen, prawdziwy skarb. Z daleka nie widziałem dokładnie. Uklęknąłem przy ławce, żeby to sprawdzić. Wsunąłem pod nią rękę i wtedy chyba wypuściłem smycz. W następnej chwili mój pies zapiszczał; był to niesamowity, nienaturalny odgłos, jakby kwik. Obróciłem się i zobaczyłem smycz falującą w powietrzu. Bez namysłu, odruchowo, złapałem ją i poczułem w ręce pulsujące szarpnięcia, niczym krew tętniącą w żyłach, wywołane ruchem skrzydeł wielkiego ptaszyska, które dopadło mojego psa. Rozpoznałem w nim myszołowa rdzawosternego. Mogłoby się wydawać, że uwolnienie ofiary nie było trudne, nawet jeśli ptak nie zamierzał jej puścić, ale nic z tych rzeczy. Myszołów wbil szpony głęboko w szyję psa i przez chwilę dane mi było odczuć moc nieubłaganej natury. *[zastanawia się]* To była praca na oślep, niezważająca na nic bezosobowa siła. Myszołów zawisł w powietrzu, machał skrzydłami, lecz nie mógł się wzbić. Nie dałbym głowy, ale wydaje mi się, że moje stopy niemal oderwały się od ziemi; puściłem smycz i patrzyłem, jak ptak wznosi się i siada na czubku drzewa. Smycz opadła wśród konarów niczym pnącze, a mój szczeniak był tak odrętwiały z przerażenia, że nawet się nie wyrывał, kiedy myszołów przyciskał go do gałęzi i wydziobywał oczy.

Dlaczego puściłeś smycz? Ptak okazał się silniejszy od ciebie? Ile miałeś lat?

Siedem, osiem, nie pamiętam. Próbuję przypomnieć sobie dokładnie chwilę, w której uznałem, że nie warto dłużej walczyć. Może puściłem smycz ze strachu? Może zrozumiałem, że pies jest stracony już wtedy, gdy myszołów zapaścił w jego ciało szpony? Nie jestem pewien. A może po prostu odpuściłem z szacunku dla bożego planu? Cofnąłem się, żeby lepiej widzieć to, co działo się na drzewie. Dla myszołowa wszelkie protesty zdawały się nie mieć znaczenia. Ani razu nie spojrzął w dół, rozszarpywał szczeniaka, jakbym ja w ogóle nie istniał. Pamiętam do dziś pulsujący dreszcz, jaki wywołał we mnie ruch jego skrzydeł. Do domu wróciłem z płaczem. To była moja wina. No i proszę. Oto cały Andrew, tyle że w młodszym wydaniu. Domyślałem się, że uwielbiasz słuchać opowieści z dzieciństwa.

Cóż, mogą być pouczające.

À propos psów, w przeddzień naszej podróży do Kalifornii Briony znalazła bezpańskiego kundla i uparła się, że zabierzemy go ze sobą.

Kiedy to było?

Po kampusie wałęsało się mnóstwo psów, ich właściciele, studenci, wypuszczali je na dwór, żeby sobie pobiegały, a potem o nich zapominali. Mówiła, że ten patrzył na nią tak błagalnie, że nie mogła się oprzeć. Duży, w czarno-białe łaty, z opadającymi uszami. W czasie jazdy stał na tylnym kanapie i pocierał wilgotnym nosem o moją szyję.

Po co pojechaliście do Kalifornii?

Nazwała go Pete. Jesteś Pete, prawda, piesku? – zapytała. Obróciła się do tyłu, uklękła na fotelu i głaskała drania ponad moim ramieniem. Tak, orzekła, to imię idealnie do ciebie pasuje.

Przepelniała mnie tak zaborcza miłość, że ani myślałem dzielić się Briony z kimkolwiek, nawet z głupim kundlem. Pragnąłem, żeby cała jej uwaga skupiona była na mojej osobie. Nic nie mówiłem, ale czułem się urażony, tak jakby zaproszenie mnie do wspólnej podróży było z jej strony takim samym impulsywnym kaprysem jak przygarnięcie psa.

Po co pojechaliście do Kalifornii?

Na domiar złego tuż przed wyjazdem pożegnał się z nami tępak, a właściwie pożegnał się z nią, na chodniku przed akademikiem.

Jak tępak miał na imię?

Nie pamiętam. Chyba Duke. Czego innego można by się spodziewać? Musnęła wargami jego usta i pogładziła po policzku, po czym wsiadła do samochodu i zamknęła drzwi, a kiedy odjeżdżaliśmy, odwróciła się, żeby mu pomachać. W mojej głowie odezwał się głos: „Gazu, stary!”. W każdym filmie z lat trzydziestych bohater zwraca się tak do taksówkarza. Głos ten nazywał rzeczy po imieniu: należałem do innego pokolenia. Byłem przybyszem z innego czasu. Nie miałem prawa wiązać się z tą dziewczyną.

Ona chyba też miała w tej sprawie coś do powiedzenia.

Mówię ci tylko, jak ja się na to zapatrywałem. Briony wiedziała, że jestem rozwodnikiem, lecz nic ponad to. Chciałem z nią być zupełnie szczerzy, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby wyznać jej całą prawdę o sobie. Wydawało mi się, że traktowała mnie jak swego rodzaju misję.

Misję? Więc wciąż nie rozumiałeś, jak głęboko była zaangażowana?

Wyczuwałem jej zainteresowanie. Schlebiali mi to. Ale nie wierzyłem, że kryje się w tym coś jeszcze. Nie postępowałem z nią do końca uczciwie. Im bardziej byłem posępny, tym silniejsze budziłem w niej zainteresowanie. Trwało to przez cały semestr. Udawałem nihilistyczną rozpacz, nawet z tego potrafiłem zrobić szopkę. Przybierałem odpowiednią minę, a w głębi duszy uśmiechałem się jak idiota. Z najwyższym trudem trzymałem ręce przy sobie, choć same mi się do niej rwały. A ona przyswajała sobie mój język, pilnie czytała zadane przeze mnie lektury, więc każdą śmiałą refleksję, jaka padała z jej ust, mogłem uznać za moją zasługę. Briony cechowała właściwa dla młodego wieku intelektualna zachłanność – młodzi posługują się cudzymi poglądami, jakby były ich własne. Kiedyś wspomniwała nawet o układzie limbicznym mózgu i spjrzała na mnie pytająco. Musiałem szybko zmienić temat.

Dlaczego?

Uszkodzenie układu limbicznego narusza między innymi zdolność odczuwania. Pojawia się

obojętność, chłód. Jest się w pół żywym. U osób, które doznały urazu psychicznego, zwykle występują zaburzenia układu limbicznego.

Uważasz, że doznałeś urazu psychicznego? Czujesz się zaburzony?

Tylko przez życie. Posłuchaj, kiedy przebywałem z Briony, mój układ limbiczny działał jak należy. Zakręt hipokampa i ciało migdałowate spisywały się świetnie. Gwizdały, wiwatawały. Robiły fikolki w tył. Na szczęście na liście lektur do mojego kursu umieściłem prace Williama Jamesa, Deweya, Rorty'ego, a później pisma francuskich egzystencjalistów, Sartre'a, Camusa. Briony zaczytywała się nimi.

W ramach podstaw nauki o mózgu?

Większość studentów mój kurs zdawał się przerastać. A jeśli czegoś nie rozumieli, odrzucali to. Nie dostrzegłem u nich szczególnej religijności. Pojęcie Boga było dla nich raczej rzeczą nabytą, jak program od razu instalowany na komputerze. A jeśli jakakolwiek filozofia pasowała do nauki o mózgu, o przedmiotach świadomości, to moim zdaniem właśnie egzystencjalizm albo pragmatyzm. Albo i to, i to. Obie obywateli się bez Boga, rozumiesz. Nie ma w nich mowy o duszy ani o tego rodzaju metafizycznych bzdurach. Briony to pojęła. Lecz w jej ocenie więcej emocji budziła i bardziej uwznioślała człowieka idea wolności jako źródła cierpienia. Więc wybrała egzystencjalistów. I niczym pragmatysta odniosła wyniesioną wiedzę do mojej osoby. Nie ulegało wątpliwości, że zaliczałem się do egzystencjalistów. Że psychologia nie wystarczała w moim przypadku – miałem bowiem historycznie ukształtowaną tożsamość. To zacieśniło łączącą nas więź. Była szczęśliwa w towarzystwie Andrew Egzystencjalisty. Mogła całować mnie w policzek. Albo przychodzić do mojego gabinetu z kawą dla mnie i dla siebie. A ja miałem ochotę paść przed nią na kolana i całować rąbek jej sukienki. To urocznie nieskażone dziecię Zachodu odkryło w moim egzystencjalizmie – tak mnie właśnie zaszufladkowała – odrodzonego dziewiętnastowiecznego romantyka: Andrew frasobliwego, zastygłego na skraju przepaści z ręką przyciśniętą do czoła.

Zostaliśmy kochankami, to było nieuchronne. Pierwszy raz przespaliśmy się ze sobą w jej pokoju w akademiku. Rozebrała się, położyła i odwróciła twarzą do ściany, czekając na mnie. Boże, jakie to było przeżycie, trzymać tę drżącą istotę w ramionach. Potem przyjeżdżała rowerem do mnie do motelu... Pamiętam, jak obudziła mnie pewnego ranka i wyciągnęła z łóżka niczym podekscytowane dziecko, a ja potykałem się na schodach, żeby nadążyć za nią, gdy prowadziła mnie na dach motelu, żeby popatrzeć na słońce wschodzące nad szczytami gór. Wątpię, żeby ktoś inny w tej kowbojskiej krainie zastosował wcześniej moją własną technikę uwodzenia. Wyrwałem Briony z jej czasu, z jej miejsca, zazdrośny byłem nawet o bezpieczeństwa kundla, którego zabrała ze sobą w podróż.

O ile dobrze rozumiałem, jechałeś do Kalifornii z wymarzoną dziewczyną, a mimo wszystko czułeś się nieszczęśliwy.

Wkrótce miałem poznać jej rodziców. Jak ty byś się czuł na moim miejscu?

Po wyjeździe z Los Angeles Briony pokierowała Andrew do nadmorskiego miasteczka leżącego na południu. Po godzinie jazdy Andrew zjechał z przybrzeżnej autostrady i skręcił w ulicę, wzdłuż której stały domki w pastelowych kolorach. Na pierwszy rzut oka ich głównym budulcem zdawał się stiuk. Każdy domek zasłaniał się od ulicy ogródkiem z ciasno upchanymi, absurdalnie wybujałymi kwitnącymi roślinami tropikalnymi. A może po prostu Andrew był zmęczony po długiej podróży. Drażniło go nawet ożywienie Briony, kiedy wskazywała mu jeden z wąskich pojazdów, jakie oddziaływały tu sąsiadujące ze sobą domy. I proszę, kto to tak pędzi do drzwi, otwiera je szeroko i znika w środku – z pewnością nie ta gimnastyczka efektywnie ćwicząca na drążku ani też śliczna ochotniczka posłusznie poddająca się badaniu fal mózgowych na ćwiczeniach z podstaw nauki o mózgu, ani też kochanka starszego od siebie mężczyzny. Dla osoby w jej wieku powrót do domu oznaczał cofnięcie się do czasów dzieciństwa. Andrew stanął obok samochodu z rękami na biodrach i rozglądał się po okolicy. Ani skrawka cienia. Rozgrzany biały chodnik zdawał się drgać. Andrew bał się przyznać przed samym sobą, jak bardzo się boi, jak nieswojo się czuje u boku tego dziecka, jak jakiś stary zboczeniec.

Rozumiem, że było ci trudno.

Tak. Wcale nie chciałem tam wchodzić. Dom rodziców Briony stał niedaleko muru oporowego na końcu ulicy. Za murem widać było porośnięte dzikim winem zbocze, w dole rozciągała się plaża pełna ludzi jak z Brueghlowskich obrazów, opalających się lub grających w siatkówkę, dzieci zbierających muszelki nad brzegiem oceanu. Jeszcze więcej sylwetek widniało na tle błękitnej toni, surferów cierpliwie ujeżdżających fale. Za nimi rozciągał się usiany żaglówkami Pacyfik. Nad oceanem, na pokrytym smugami niebie unosiło się krwawe słońce, wyraźnie szykując się do wieczornego spoczynku. Widok wydawał się nienaturalny. W moich stronach słońce zachodzi nad ziemią.

Briony zawołała go i uśmiechając się radośnie, pomachała do niego. Odwrócił się i spojrzal na samochód jej rodziców, przy którym zaparkował, czerwony morris minor. Niewiele takich widywało się już na drogach. W progu Briony wzięła go za rękę. Są w ogrodzie za domem, wyjaśniła. Przechodząc przez środek domu do ogrodu, Andrew odniósł wrażenie, że znalazł się – jak by to ująć – we wnętrzu przystosowanym dla niepełnosprawnych. Schody prowadzące na piętro zaopatrzone w dodatkowe mniejsze stopnie, do tapicerowanych krzesel i sof w salonie przymocowano podnóżki. Do podestu na środku kuchni i wszystkich sprzętów domowych zapewniony był stopniowany dostęp, nie żalowano też poręczy. Wnętrze pachniało czystością, stwarzało wrażenie niemal klinicznej sterylności. Wszystko to Andrew dostrzegał kątem oka, w drodze do ogrodu, gdzie czekali na niego, uśmiechając się przyjaźnie, rodzice Briony, wcale nie upośledzeni czy okaleczeni. Jestem Bill, powiedział ojciec. Jestem Betty, powiedziała matka.

Na moją korzyść przemawiało to, że byłem nauczycielem akademickim. Rodzice Briony, nim przeszli na emeryturę, pracowali w branży rozrywkowej, i wysoko cenili wykształcenie, którego sami nie mieli. I tak bardzo kochali córkę, że w pełni zdawali się na jej osąd. Nie okazali nawet śladu zdziwienia na widok faceta dwa razy od niej starszego. Przyjęli mnie serdecznie. Niepotrzebnie się martwiłem. Na barku na kółkach stały butelki i kubełek z kostkami lodu. Czym chata bogata, oświadczył Bill. Sączyliśmy drinki, Briony siedziała na sofie tuż obok mnie

i raz po raz zerkała na mnie badawczo. Bill i Betty zachowywali się z klasą, w towarzystwie cechowali się swobodą właściwą długoletnim artystom estradowym. Wyglądali dość młodo jak na emerytów. Ale trudno ocenić wiek mikrusów.

Mikrusów?

Nie chcemy przecież ich obrażać i nazywać karłami. Określenie „karkan” jest absolutnie niedopuszczalne. W użyciu potocznym oznacza karalucha. Swoją drogą „niziołek” też pozostawia wiele do życzenia.

Więc mówisz, że rodzice Briony to karły?

Tylko wtedy, gdy tego nie słyszą.

O rany. A „mikrusy” to ich określenie?

Nie, moje. Oni sami w ogóle się nie określali. Na ich widok sam przechodzisz w tryb politycznej poprawności. Mogę się pochwalić tym, że nawet nie mrugnąłem, kiedy ich zobaczyłem. A to dowód na to, jak błyskawicznie synapsy w mózgu przesyłają informacje. Mój mózg wcześniej ode mnie domyślił się, kogo zastanę w ogrodzie.

Dlaczego Briony cię nie uprzedziła?

Nie wiem. Może mnie sprawdzała? Moja reakcja miała świadczyć o moim charakterze? Nie, to niemożliwe. Briony była niezdolna do jakiegokolwiek podstępu. Ze swoją wysoką samoświadomością nie mogła też działać instynktownie. Poza tym dlaczego powinna mnie uprzedzić? Byliśmy ze sobą na poważnie, więc jakie to mogło mieć znaczenie? To byli jej najbliżsi, miała ich przed oczami, odkąd się urodziła. I kochała ich. A ponieważ chętnie przestawiali z innymi mikrusami, Briony dorastała w ich otoczeniu, uważając ich za ludzi zupełnie normalnych. Nikomu nie trzeba się tłumaczyć za swoich rodziców.

Ale czy przeciętna dziewczyna, mająca rodziców nawet normalnego wzrostu, nie pisenłaby o nich wcześniej choćby słowa, żeby złagodzić wrażenie, jakie wywrą na jej chłopaku? Rodzice z reguły wprawiają nas w zakłopotanie.

To cała Briony. Dziewczyna, która zaprowadziła mnie na górski szczyt. Tajemnicza pod każdym względem. Byłem zanurzony głęboko w świecie jej uczuć – dlaczego sam nie wpadłem na to, że ma lilipucich rodziców? Jaka odpowiedź by cię zadowolili? W drodze do Kalifornii Briony oddała psa recepcjoniście w motelu, w którym zatrzymaliśmy się na noc. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego to zrobiła. Najpierw pod wpływem impulsu zabrała go w podróż, nadała mu imię, a potem rozstała się z nim, dodając w pakiecie kilka dolarów na suchą karmę. Uklękała i przytuliła go, a potem patrzyła smutnym wzrokiem, jak oddała się prowadzony na smyczy przez nowego właściciela. Może to był ten przejaw troski z jej strony, której tak uparcie się domagasz? Kiedy zobaczyłem, jak Briony bierze w ramiona matkę i trzyma ją jak dziecko, kiedy zobaczyłem, jak klęka, żeby uściskać ojca, zrozumiałem, dlaczego zmieniła zdanie co do psa. Pete był duży. Machnięciem ogona mógłby złamać człowiekowi kość strzałkową.

Właśnie przypomniałem sobie jedną rzecz. W ramach instrukcji udzielanych w ostatniej chwili Briony poprosiła mnie, żebym nie dyskutował z jej ojcem o polityce. Dochodziliśmy do jej rodzinnego domu. Pocałowała mnie w policzek. Aha, i proszę cię, Andrew, żadnych rozmów o polityce, zgoda?

O co jej chodziło?

Byliśmy w hrabstwie Orange w Kalifornii, krainie, gdzie rządziła zasada „jak się nie podoba, to fora ze dwora”.

Skąd Briony znała twoje polityczne zapatrywania? Nie wyobrażam sobie, żeby kochankowie o tak krótkim stażu wdawali się w rozmowy o polityce.

Kochankowie poznają na wylot umysły partnerów. Briony rozpoznała u mnie tę samą obywatelską zapalczywość, którą odznaczały się rozmowy prowadzone przez jej ojca. Tyle że ja należałem do innej epoki.

Ach tak.

Nie znasz całej prawdy o mnie, doktorku, dowiadujesz się tylko tego, co sam postanowiłem ci wyjawić. Zawsze podejmowałem dziejowe wyzwania moich czasów. Zawsze zważałem na kontekst mojego istnienia.

Kontekst.

Owszem. Kontekst zataczający coraz szersze kręgi, sięgający aż do gwiazd. Bill był bystry, a ja uszanowałem życzenie Briony, choć i tak do głowy by mi nie przyszło, żeby będąc gościem w jego domu, drażnić różnice naszych przekonań politycznych. Jednak z nas obu to ja byłem prawdziwym patriotą. Jeśli ma się na uwadze ogólną sytuację, nie można być przekonanym o trwałości tego państwa. Zwłaszcza jeśli się wie, kto nim rządzi.

A ty dobrze wiesz, kto nim rządzi?

O, tak! Mogłem się o tym przekonać na własne oczy.

Bill i Betty nie byli karłami o nieproporcjonalnej budowie, z wielką głową, długim tułowiem i krótkimi kończynami. Mieli ciała o doskonałych proporcjach, wszystkie elementy były harmonijnie dopasowane. Utrzymywali się ze stałych dochodów, jak zakładałem, i starali się żyć godnie i z dbałością o drobiazgi. Bill miał przyjemną powierzchowność showmana, jego drobne rysy i błękitne oczy stanowiły oczywiste źródło urody Briony. Lekko czerwony na twarzy, siwe włosy nosił zaczesane do góry. Betty miała płaską lalkowatą twarz, dość często spotykaną u mikrusów. Ubierali się tak, jak przystało na mieszkańców południowej Kalifornii, luźne spodnie, spódnice i bluzki, wszystko w jasnych kolorach. On chodził w mokasynach, ona w pantoflach na niskim obcasie. Betty była nieco tęgawa, farbowane na brąz włosy upinała w kok, miała ujmujący uśmiech, a jej twarz wyrażała pełne współczucia zrozumienie. Ich serdeczne obejście zdradzało sposób bycia wyniesiony z branży rozrywkowej, w której pracowali przez całe życie. Jeździli po świecie z różnymi zespołami złożonymi z samych karłów. Śpiewali, tańczyli, pozowali na Targach Światowych w pawilonach wystawowych różnych krajów przebrani w ludowe stroje. Chętnie mi o tym opowiadali. Występowali w Las Vegas. Gałą ścianę gabinetu Billa pokrywały opatrzone autografami zdjęcia artystów, o których nigdy nie słyszałem. Trafili nawet do telewizji, towarzyszyli w trasie Ringling Bros., o czym świadczyły zdjęcia Betty stojącej na grzbiecie cwałującego konia oraz Billa w kostiumie dobosza, prowadzącego zespół klaunów. Ale nigdy nie chałturzyliśmy, oświadczył Bill, nie wynajmowaliśmy się na jarmarczne widowiska.

Powiedz mi, doktorku, dlaczego miniaturki budzą w nas taką czułość? Jak te metalowe

samochodziki, którymi tak chętnie bawią się wszyscy chłopcy, modele prawdziwych wozów. Jak ważne było dla nas, że stanowiły ich dokładne odwzorowanie. A koty? Chociaż nie lubiłem kotów, miałem nieklamaną frajdę, bawiąc się z kocicami; drażniłem je kawałkiem sznurka, żeby sprawdzić, jaki mają refleks. A tu Bill i Betty, miniaturowi ludzie, dokładnie odwzorowani, pocieszni jak kocicą. Sama myśl o nich urzekała, każda chwila spędzona w ich obecności zdawała się niepowtarzalna. W ich towarzystwie miało się wrażeń, jakby wyjechało się do dalekiego kraju, jakiegoś egzotycznego zakątka, z którego można wysłać kartkę do domu, o ile ma się dom i kogoś, kto ją przeczyta. Uważałem za prawdziwy zaszczyt ciepłe przyjęcie ze strony tych ludzi, którzy potraktowali mnie jak równego sobie, jakkolwiek zabawnie może to zabrzmieć.

Zatem twoja wdzięczność była wdzięcznością przedstawiciela doskonalszej, wyższej, wspanialszej wersji ludzkiej rasy?

Niekoniecznie. Po kilku dniach to oni stali się normą. Kiedyśmy siedzieli we czwórce przy stole, Briony wydawała mi się ogromna; do kolacji przebierała się w sukienkę, a włosy, zaczesane do tyłu, spływały jej na ramiona. Była śliczną, lecz przerośniętą Alicją w Krainie Czarów. Co zaś się tyczy mnie, nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że gdybym zbyt gwałtownie wstał, walnąłbym głową w sufit. Ich głosom, Billa i Betty, brakowało głębi; brzmiały cicho, mniej więcej tak, jakby ktoś grał na trąbce z tłumikiem, czasem ledwie było je słyhać, jakby dochodziły z oddali.

Pewnego ranka Briony pojechała z matką taksówką po zakupy, a Bill posadził mnie przy stoliku w ogrodzie z tyłu domu, gdzie mieliśmy wypić poranną kawę. Zapalił cygare, skrzyżował nóżki i czekał, aż poruszę jakiś temat, żeby oświadczyć mi, jakie jest jego zdanie. Przejawiał asertywność, powodował nim wewnętrzny nakaz wykazania się przed każdym rozmówcą normalnego wzrostu. Był zawziętym dyskutantem. Kiedy wspomniałem, że razem z Briony czytaliśmy na głos Marka Twaina, pokręcił głową i zapytał: Co sądzisz o zakończeniu *Przygód Hucka Finna*, profesorze? Jest zupełnie do bani, nie uważasz? Psuje całą powieść, przynajmniej dla mnie. Kiedy pod koniec pojawia się Tomek Sawyer, to znak, że Twain się poddał, że wyskakuje z tą błazenadą tylko po to, żeby odgwizdać koniec przedstawienia, a przez to z całej wspaniałej podróży Hucka i Jima po Missisipi nic nie wynika. Wiem co nieco o tym, jak okrutne potrafi być życie, dlatego mówię ci, to zakończenie woła o pomstę do nieba. Twainowi tak się spieszyło, żeby zamknąć sprawę, że spieprzył wielką, ponadczasową opowieść.

A czy wiesz, Bill, że Twain przerwał pracę nad książką i dopiero po siedmiu latach dodał zakończenie?

Jasne, o to właśnie mi chodzi. Nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić, aż w końcu stwierdził, cholera, trzeba to wreszcie odfajkować. Jeszcze kawy?

Tak się składa, Andrew, że zgadzam się z tym zarzutem.

Zapytałem, czy występował w *Czarnoksiężniku z Oz*, nie w filmie, bo był na to za młody, ale może w jakiejś inscenizacji? Zaciągnął się mocno cygarem i zgasił niedopałek w popielniczce. Mniejsza o film, profesorze, trzeba przeczytać książkę. A ty nie czytałeś, co?

I tu mnie masz, Bill.

Niektórzy twierdzą, że to komunistyczna propaganda.

Niby co?

Czarnoksiężnik z Oz. Jaki morał płynie z tej opowieści? Nie licz na mnie, nie ufaj mi,

moje rządy to lipa, masz w sobie to, czego trzeba, żeby samemu wszystkim pokierować. Ty i twoi towarzysze. Możesz przejąć władzę, musisz tylko zdobyć się na odwagę, wyteńczyć umysł; wszyscy ludzie są równi – oczywiście z wyjątkiem tych kilku na samej górze – świat stoi przed tobą otworem. Podobno to komunistyczna alegoria, przynajmniej niektórzy tak uważają.

No, nie wiem, Bill. Alegoria... czy to nie oznacza, że wszystko w powieści ma jakieś drugie dno? Czym w takim razie są Manczkinowie i dlaczego Zła Czarownica jest z Zachodu, a droga wyłożona żółtą cegłą? Wszystko to musiałyby mieć jakieś ukryte znaczenie.

Droga wyłożona żółtą cegłą, no cóż, to droga prowadząca do złota. Zła Czarownica, hmm, to uosobienie Zachodu, rozumiesz, to znaczy naszego świata, a te wszystkie latające stwory to armia, jeśli jej się nie przeciwstawisz, stanie się jeszcze groźniejsza od tego szarlatańskiego Czarnoksiężnika. A co oznaczają Manczkinowie, to akurat dobrze wiem. Wierz mi, w tej dziedzinie jestem ekspertem.

Opowiem ci o przyjęciu, jakie wydali na naszą cześć w przeddzień naszego wyjazdu.

Wyprawili wam przyjęcie?

Tak, żeby ogłosić nasze zaręczyny. Bill i Betty zaprosili na nie głównie mikrusów. Wiesz, jak w Nowym Jorku dzielnice zmieniają się w skupiska mniejszości etnicznych, greckich, włoskich, latynoskich? Koreańcy opanowują całodobowe sklepy, a muzułmanie przejmują taksówki? W tym miasteczku powstała społeczność małych ludzi, którzy zarabiali na życie w branży rozrywkowej. Pewien starszy gość zasiadł w fotelu, a wszyscy pozostali odnosili się do niego z szacunkiem; okazało się, że grał Manczkiną w *Czarnoksiężniku z Oz*. Może był już ostatnim żyjącym filmowym Manczkinem? Alkohol łał się strumieniami, podniesione głosy przypominały ptasi świergot. Oczywiście zwinęto dywan i gospodarze zaprezentowali jeden ze swoich popisowych numerów rewiowych, odtańczyli i zaśpiewali starą piosenkę George'a Cohana, *...for it was Mary, Mary, plain as any name can be...* Poruszali się z wielkim wdziękiem i swobodą, wybuchając śmiechem, kiedy udało im się zgrabnie wykonać taki czy inny krok; w pewnym momencie Bill zaczął stepować jeszcze szybciej, a Betty przewróciła oczami. Jeden z zaproszonych gości wspiął się na stół przy fortepianie i zaczął im akompaniować, podśpiewując przy tym ściszym tenorem. Było cudownie. To my, Briony i ja, stanowiliśmy widownię, przed którą występowali. Briony siedziała na podłodze obok mnie z podkurczonymi nogami, jej twarz promieniała radością. *But with propriety, society will say «Marie»...* Killkoro gości przedstawiło swoje popisowe numery, deklamowali wiersze, odgrywali wykładców, zabawa była świetna. Pamiętam, jak maleńki pastor z miejscowego kościoła zagadnął mnie przy barze, przy którym przyrządzaliśmy sobie drinki, i zapytał, jak poradziłbym się z zagrożeniami dla pokoju na świecie, gdybym został prezydentem. Odparłem, że wydałbym im wojnę, żeby z nimi raz na zawsze skończyć, a on się roześmiał, mimo że się z mną nie zgadzał.

Wygląda na to, że miło spędzałeś czas.

Widziałem, z jakim uwielbieniem Briony śledziła występ rodziców, i choć pewnie oglądała to po raz setny, śmiała się i klaskała. Jej widok sprawił mi w stan względnej szczęśliwości. Jakby udzielił mi się zachwyt Briony, przesłany elektrycznym impulsem z jej mózgu do mojego. To było czyste, bezrefleksyjne uczucie, spontaniczne rozanielenie. Wzięło mnie przez

zaskoczenie i wydawało się niemal nie do zniesienia. Jakby płynęło prosto z serca, sączyło się z oczu. Chyba nawet popłakałem się z radości, kiedy w szampańskich humorach biliśmy wszyscy Billowi i Betty brawa. To uczucie nie było skażone lękiem, przepędzało wszelkie obawy, w tamtym momencie przestałem się martwić, że w każdej chwili mogę się potknąć, przewrócić na któregoś mikrusa i zgnieść go na miazgę.

Czyli twoja bezuczuciowa, zimna toń milczenia...

Wylaniałem się z niej ku życiu, zaczynałem łapać oddech. W miłosnej trosce, jaką otaczała mnie ta dziewczyna, znajdowałem odkupienie.

Przeprosiliśmy gości i wyszliśmy z przyjęcia. Briony poprowadziła mnie do muru przy końcu ulicy. Wspiealiśmy się na niego. Po drugiej stronie wśród krzewów biegła w dół ścieżka. Zeszliśmy na opustoszałą plażę. Byliśmy zupełnie sami, do pełni szczęścia brakowało tylko blasku księżyca. Oświetlały nas za to nikle, zamglone światła pobliskich miasteczek, a na wodzie kładła się luna bijąca od Los Angeles. Za dnia wzbraniałem się przed kąpielą w oceanie, nie chciałem prezentować światu wklęsłej klatki piersiowej i patykowatych ramion. Ma się rozumieć, Briony widziała mnie nagiego, ale obraz, jaki przedstawia się nocą w sypialni, kiedy mrok rozprasza głównie światło intelektu, nijak się ma do żalostnego widoku bladego wykładowcy kognitywistyki, chudego, z lekko sterczącym brzuszkiem, wystawionego na widok publiczny na słonecznej plaży. Lecz teraz nic nie mogło mnie powstrzymać, zdjęliśmy buty, zrzuciliśmy ubrania i pobiegliśmy do morza. Zanurzyliśmy się w ciepłych, pluskających falach. Popływaliśmy trochę, a potem oczywiście zaczęliśmy się całować, czułem gładkość jej skóry, jędrność piersi. Objąłem ją w pasie, drugą rękę wkładając jej między nogi. Osunęliśmy się, całując się zapamiętale, a przetaczające się fale obracały nami tam i z powrotem.

Po wyjściu z wody wytarłem Briony moją koszulą, ubraliśmy się i usiedliśmy na małych tronach, które ulepiłem dla nas z piasku. Nadszedł czas spokojnej refleksji i wtedy właśnie postanowiłem zaspokoić swoją ciekawość. Na ścianie w gabinecie Billa dostrzegłem dwa świadectwa naturalizacji oprawione w ramki. Bill i Betty nie byli rodowitymi Amerykanami.

Tata urodził się w Czechosłowacji, wyjaśniła Briony. Obecnie to Republika Czech. Mama jest Irlandką z Limerick.

A jak się poznali?

Aha, roześmiała się, nic nie słyszałeś o Leo Singerze?

Mówiąc to, Briony zerwała się na równe nogi i pociągnęła mnie za sobą. Szła tyłem, nie puszczając moich rąk. I opowiedziała mi o tym facecie, który jeździł po Europie i wyszukiwał osoby podobnych rozmiarów co jej rodzice. Podpisywał z nimi kontrakty i szkolił do występów w swoim widowisku *Liliputy Leo Singera*.

W tym momencie Briony odwróciła się, pobiegła do przodu i uznała za stosowne zrobić gwiazdę. Kiedy stanęła na nogach, zapytałem, co to było za widowisko.

Mama opowiadała, że temat przewodni ich występu zmieniał się z sezonu na sezon, a wraz z nim kostiumy, lecz zasadniczo była to po prostu rewia, złożona z piosenek, skeczy i numerów, jakie miałeś okazję podziwiać na przyjęciu. Znalazło się w niej miejsce na cyrkowe popisy żonglerów, linoskoczków, muzykantów, którzy potrafili grać na skrzypcach trzymanyh za plecami, i tym podobne osobliwości. Widzów oczywiście przyciągał ich wzrost, ale i rozliczne talenty, którymi się popisywali, przychodzili więc tłumnie na przedstawienia i byli zachwyceni.

Z jakim ożywieniem opowiadała mi tę rodzinną historię, niemal przeżywała ją na nowo, urozmaicając opowieść stójkami na rękach, gwiazdami, koziołkami i skokami w dal. A wszystko to nocą, na plaży, przy wtórce rytmicznie pluskających fal.

Występowali we wszystkich europejskich stolicach i tak właśnie się poznali, mama i tata. Należeli do Liliputstadt Leo Singera.

Słyszalesz kiedyś, doktorku, o tym Leo Singerze?

Nie.

Podobnie jak ja. Okazuje się, że zgłosił swoje usługi jako pośrednik, kiedy wytwórnia MGM potrzebowała Manczkinów do filmu. Facet handlował Manczkinami na całym świecie.

Słyszę w twoim głosie nutę pogardy.

To kombinator, udziecinnił ich, zrobił z nich widowisko, a przy okazji zbil fortunę.

Przecież sam twierdziłeś, że miniaturki budzą w nas czułość. A teraz jej rodzice żyją sobie dostatnio na emeryturze w Kalifornii, jak pączuszki w maśle.

Wiem, wiem. Jakie życie czekało ich w rodzinnych wioskach, gdyby ten facet ich stamtąd nie zabrał? Ich rodzice z pewnością byli z takiego obrotu sprawy zadowoleni. Podejrzewam, że zainkasowali za nich gotówkę. Bill i Betty musieli być jeszcze młodzi, pewnie około dwudziestki. A on dał im zawód, dzięki czemu mogli nabrać dla siebie szacunku. W rodzinnych stronach traktowano by ich nadal jak odmieńców; owszem, tolerowano by ich, ale zabawiano się ich kosztem albo okazywano poniżające współczucie. Taki rodzaj wrażliwości pasuje mi do Europy, wiesz? Manczkinowie w filmie przynajmniej mogli udawać kogoś innego, nie byli karłami na scenie, lecz wymyślonymi fantastycznymi stworami. Nie tak jak Bill i Betty czy inne liliputy z zespołu. Nie uważasz, że to mocno trąci Europą?

Nie rozumiem, co masz na myśli.

Chodzi mi o poddaństwo, zalegalizowany ucisk, te ich przeklęte mundury, wojny dynastyczne, podboje, palenie na stosie. Szczucie psami uwiązane niedźwiedzia, o to właśnie mi chodzi, prześladowanie wpisane w europejską kulturę. Wysztychanie odmieńców. Zabijanie Żydów. To właśnie mam na myśli.

[zastanawia się] Była taka szczęśliwa. Dlatego to przemilczałem. Mówiłem ci, że jeszcze zanim wybraliśmy się w podróż do Kalifornii, kupiłem pierścionek zaręczynowy?

Nie.

Ano kupiłem. Robiłem rozmaite rzeczy, które nie pasowały do Andrew. Trzymałem ją za rękę w miejscach publicznych, nie starałem się kryć swojego szczęścia. Wtedy na plaży wyglądałem się, próbowałem stanąć na rękach, zrobić gwiazdę, przewracałem się i wstawałem z twarzą oblepioną piaskiem. Śmiała się do rozpuku. A jak to między kochankami o krótkim stażu, wystarczała byle iskra, żeby nas rozpalić. Wszystko potrafiło wzbudzić w nas płomień namiętności – śmiech, intensywność chwili. Zamknij oczy, powiedziała, i poczułem, jak ściera piasek z mojej twarzy. Nagle pchnęła mnie, a kiedy leżałem na ziemi, przywarła do mnie, wpijając się ustami, bezceremonialnie ściągnęła mi spodnie, a potem przekreśliła się i znalazłem się na górze. Kiedy zdążyła zedrzeć z siebie sukienkę? I te trzy powtarzane przez nią słowa: Wejdz we mnie! Wejdz we mnie!

Darujmy sobie szczegóły, Andrew.

Na początku odbywa się to w nabożnym skupieniu, mówię o zbliżeniu fizycznym, ale

potem mózg się wyłącza, pogrąża w mroku, jak miasto podczas przerwy w dostawie prądu, i wtedy stery przejmuje pierwotne przedomózgowie, które wie tylko tyle, że ma wprawiać w ruch biodra. To z pewnością jakiś wszczepiony głęboko nakaz pochodzący jeszcze z ery paleozoicznej. To on stanowi podstawę bębnienia.

Bębnienia?

Chodzi mi o to, że w takich chwilach traci się zwykłą czujność. Jakby ta pozostała cząstka ludzkiego umysłu, ta mglista świadomość przenosiła się gdzieś w głąb twojej istoty skupionej teraz w jądrach. To dlatego nie słyszałem silnika i nie od razu zorientowałem się, dlaczego plaża nagle zaczęła wzbijać się w powietrze, wzniciając dookoła nas burzę piaskową. Spojrzałem Briony w oczy: zaślepiało ją przerażenie. Nie wiedziałem, czego się tak bała – mnie czy tego sztucznego rześistego światła, które nagle nad nami rozbłysło? Do tej pory nie potrafię sobie odpowiedzieć na to pytanie. Warkot śmigieł tnących powietrze, snop reflektora, wszystko to razem wzięte musiało nieźle ją wystraszyć. Ale gdy biorę pod uwagę to, co miało się wydarzyć później, bezskutecznie usiłuję sam siebie przekonać, że to nie ja byłem powodem jej przerażenia, ten rozpalony troglodyta, z którym legła na piasku. W każdym razie błyskawicznie pojąłem, że sytuacja jest groźna. Starłem się chronić ją własnym ciałem. Zasloniłem jej twarz ręką, drugą ręką podciągałem spodnie. Słyszałeś o nocnych patrolach na plażach w południowej Kalifornii?

Obiło mi się o uszy.

I jeszcze megafon przebijający się przez ryk silnika i śmigieł – nie dasz wiary, jak nisko nad naszymi głowami unosił się ten czarny owadzi potwór, sypiąc w nas za karę piaskiem, strasząc swoją bliskością. Zerwaliśmy się w popłochu i rzuciliśmy się do ucieczki, zakryłem głowę Briony moją koszulą, a oni wciąż celowali reflektorem prosto w nas, jakby oskarżając o jakiś nieokreślony, lecz odrażający postępek, o rażące naruszenie norm cywilizowanego życia, o skalenie tej uświęconej ostoji, miejsca zabaw niewinnych dzieci i rozgrywek siatkówki plażowej.

Wtem światło zgasło, a ten cholerny helikopter uniośł się w górę i odleciał, ciskając nam na pożeganie w twarz piaskiem; odprowadzaliśmy go wzrokiem, zaslaniając oczy rękami. Kilka chwil później po całym zajściu nie było już ani śladu, zapanował błogi spokój. Nagle Briony roześmiała się, popatrzyła na mnie i znów się roześmiała, wytrząsając piasek z włosów gwałtownymi ruchami głowy. Radziła sobie z upokorzeniem tak, jak kobiety zwykły je znosić – wyrażającym bezsilność śmiechem, wzruszeniem ramion i komicznym rozłożeniem rąk.

Dobiegliśmy do końca plaży, do zbudowanego z kamieni falochronu. W ciemnej jamie rozciągającej się pod krańcem falochronu od strony lądu jarzyły się jakieś ślepie. Briony powiedziała, że to zgraja zdziczałych kotów kręcących się tutaj od niepamiętnych czasów. Czysta się w mroku i syczały na intruzów. Podeszliśmy za blisko, ich syk spowijał nas niczym pajęczna sieć. Chyba właśnie wtedy znów zacząłem się zastanawiać nad innymi rzeczami niż tylko moja własna osoba.

Jakimi rzeczami?

Na przykład nad tą krainą wiecznego słońca, społeczności karłów i podniebnej policji.

Następnego ranka, kiedy zbieraliśmy się już do wyjazdu, żegnając się ze mną przy

samochodzie, Betty ścisnęła mi dłoń i łagodnie potrząsnęła nimi na znak życzliwości. Tak się cieszymy, że trafiła na ciebie, Andrew. Pragniemy dla naszej dziewczynki wszystkiego, co najlepsze. Kochamy ją ponad wszystko. To nasz życiowy sukces.

Przyznaję, ludziłem się, że okaza się przybranymi rodzicami Briony. A wiesz dlaczego? Wciąż nie mogłem dojść do siebie po przeżyciach na plaży i gdy tak stałem wystawiony na upiorne słońce, próbując ogarnąć wszystkie osobliwe okoliczności życia mojej ukochanej, nagle zrobiło mi się niedobrze. Te warunki jak ukształtowały, naznaczyły, stały się jej częścią, ona powstała z nich, a jej obraz, jaki wytworzyłem sobie wcześniej – cudownej uczennicy w długiej sukience w kolorze słońca i w butach do biegania – okazał się niepełny, o ile wręcz nie złudny. Owszem, zgodnie ze wspaniałą amerykańską tradycją zarabiała na swoje studia – czasami trafiło jej się stypendium albo brała kredyt – najwyraźniej Bill i Betty nie mogli jej wesprzeć finansowo, więc Briony rzeczywiście wyfrunęła z gniazda, usamodzielniała się. Ale nie mogłem się pogodzić z tym, że dorastała w tym domu, w tym miasteczku, wśród tych ludzi, że każdego ranka wychodziła tymi drzwiami i patrzyła na ten niezmienny szereg stiukowych domków, na wyłożone muszlami donice z kwiatami rozstawione w maleńkich frontowych ogródkach, na brukowaną ulicę pozbawioną nawet skrawka cienia. Wszystko mi mówiło, że życie w takim otoczeniu mogło ją odmódlżyć. Wyobraziłem ją sobie jako małą dziewczynkę schodzącą na plażę, bawiącą się w piasku, zbierającą muszki na brzegu oceanu, dzień w dzień, rok w rok. Przez chwilę, nim zdołałem odpędzić te myśli, ogarnęło mnie przykre uczucie, że cała ta Kalifornia jest tylko na niby. Briony wyloniła się z domu z resztą bagażu i uśmiechnęła się, piękna jak zawsze, a ja poczułem, że dałem się zwieść.

No to mnie pocieszyłeś. Przez chwilę miałem wrażenie, że miłość zrobiła z ciebie normalnego nudziarza.

Postaraj się mnie zrozumieć. Wiem, że to trudne, ale wczuj się w moje położenie. Ta wizyta mną wstrząsnęła. Czy ty na moim miejscu nie poczulbyś się tak, jakby ktoś podważał twoje istnienie? Czy Briony kochała mnie czy też coś we mnie, coś, co było jej aż za bardzo znajome? Czy zauważyła to już pierwszego dnia, na wykładzie, kiedy pisząc swoje imię na tablicy, złamałem kredę i strąciłem na podłogę książki? Pozbierała je z wyrozumiałym uśmiechem. Wzrastając w tej krainie nieustannego słońca, wśród tych okropnych kwiatów, mając za rodziców, powiedzmy to otwarcie, dziwołagi, przywykła do dziwaczności, nienaturalności. Była z nią obeznana, stanowiła jej normalną społeczną rzeczywistość. Kogo więc sobie poszukała, do kogo poczuła chorobliwy pociąg? Kto miał w sobie więcej uroku niż cierpiący na depresję, niezdarne profesorkę, którego zresztą niebawem zaczęła pocieszać, spotykając się z nim po przesiąkniętych nihilistyczną rozpaczą wykładach.

Wyraźnie się zadręczasz.

To widać?

Po raz kolejny próbujesz sobie wmówić, że nie zasługiwałeś na miłość tej dziewczyny. W pierwszej wersji byłeś chodzącym przytykiem na kampusie, gdzie największą czcią otaczano futbol. A teraz, przeciwnie, pasujesz do jej świata jak uł – jako świr i odmieniec.

Przecież zastrzegłem, że to było tylko przelotne wrażenie. Wszystkich nas ogarniają czasem chwilowe uczucia, które jednak nie przekładają się na czyny, prawda?

Prawda.

Nie sądzisz chyba, że byłbym na tyle głupi, by wyrzekać się miłości mojego życia z powodu ulotnego podejrzenia, które zresztą wynikało z mojej skłonności do samobiczowania, co?

Chyba nie.

Poza tym w końcu się stamtąd wyrwała, a kiedy odjeżdżaliśmy, a jej rodzice w progu machali nam na pożegnanie, płakała. Jakby rozstawała się z nimi na zawsze. Podejrzewam, że to przeze mnie.

Dlaczego?

Przy mnie nie mogła dłużej udawać, że się od nich nie odsunęła. Mogła ich kochać, czuć dla nich wdzięczność, lecz nie mogła zaprzeczyć temu, że już nie należeli do jej świata.

Na czym polegała twoja wina?

Po prostu ich poznałem.

Briony była znakomitą gimnastyczką, lecz pozbawioną muskulatury. Miała drobną budowę, istne chucherko. Na jej nogach, mocnych i zgrabnych przecież, próżno by szukać mięśni, takich jak chociażby u tancerki. Jej aktywność na polu sportowym nie wydawała mi się zatem czymś naturalnym, biorąc pod uwagę jej fizyczne warunki, wynikała raczej z determinacji i narzuconej sobie dyscypliny. Co więc sprawiało, że koniecznie musiała wdrapywać się na szczyt piramidy czirliderek, robić obroty na drążku, biegać, skakać; jaki inny mógł być powód tych wszystkich ćwiczeń jak nie po prostu radość istnienia? Wątpię, czy ona sama wiedziała. Zaraz po urodzeniu dziecka zaczęła biegać, pchając przed sobą wózek. [zastanawia się]

I co?

Tylko raz zawiodła ją sprawność fizyczna, którą tak zawzięcie rozwijała. A stało się to na uczelnianym boisku w cieniu gór. Żeby pokazać jej, że sport nie jest mi zupełnie obcy, kupiłem dwie rakiety do tenisa i zaprowadziłem ją na kort, żebyśmy trochę poodbijali. Grywałem na studiach w Yale – nie dla Yale, tylko w Yale. Nigdy nie brałem lekcji tenisa, ale jakoś załapałem, o co chodzi w tej grze. Byłem dość giętki, choć nieco powolny, umiałem poruszać się na korcie, potrafiłem dobiec do piłki, miałem całkiem niezły forhend, tylko bekhend za bardzo mi nie wychodził. Potrafiłem podkręcić loba i ładnie ściąć, kiedy trzeba. Briony nie grała wcześniej w tenisa, lecz kiedy zaproponowałem, że udzielę jej kilku wskazówek – jak trzymać raketę, jak się ustawić do forhendu, jak odbić z bekhendu – stwierdziła, że się obejdzie. Uznała widocznie, że sama szybko opanuje tajniki gry. Jednak kiedy okazało się, że sobie nie radzi – uderzała za mocno albo za nisko, wybijała piłkę za ogrodzenie albo w ogóle w nią nie trafiała – nerwy jej puściły, cisnęła raketą o ziemię i nadąsana zeszła z kortu. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, widziałem, jak traci nad sobą panowanie.

Zdarzało jej się to później?

Kiedy była w ciąży, nie pamiętam, w którym miesiącu. Miała jakieś krwawienia i bardzo się tym przejmowała. Kiedy dzwoniłem po lekarza, zagryzała palce. Okazało się, że to nic groźnego. Ale wtedy na korcie – ta myśl nie daje mi spokoju – nie jestem pewny, czy chcąc się popisać, celowo nie uderzałem piłki tak, żeby nie mogła jej odebrać.

[zastanawia się]

Nie opowiadałem ci, co się stało, kiedy byłem w wojsku. Zostałem powołany do służby zasadniczej. Tuż przed moim odejściem do cywila brałem udział w nocnych manewrach. Zasnąłem na stanowisku w okopie, a miałem trzymać straż. Obudził mnie oficer kadrowy. Musiałem za karę zrobić sto pompek z karabinem na plecach, ale to nic w porównaniu z tym, co przeze mnie spotkało dowódcę plutonu. Był to zawodowy podoficer w randze sierżanta. Zdegradowali go. Do przejścia w stan spoczynku zostały mu dwa miesiące. [zastanawia się] A kiedyś na zakrapianym przyjęciu w gronie wykładowców, w pokoju pełnym gości, rozprawiając o czymś z ożywieniem, zamasyście wymachiwałem rękami. Uderzyłem przy tym nauczycielkę stojącą z mojej prawej strony. Krzyknęła i osunęła się na podłogę. Wszyscy umilkli skonsternowani. Pobiegłem do kuchni i otworzyłem lodówkę. Chciałem wziąć z zamrażarki trochę lodu, ale najpierw musiałem wyjąć kilka chłodzących się w niej butelek wódki. Trzymałem je w ręku, kiedy do kuchni wpadł z krzykiem mąż znokautowanej nauczycielki. Tak się wystraszyłem, że odwracając się, upuściłem butelki, a te spadły mu prosto na stopę i złamały kość. W ciągu minuty wykosiłem całą rodzinę. [zastanawia się] Studiowałem biologię w Yale. Kiedyś w laboratorium robiliśmy doświadczenie z ukwiałami i...

Andrew, skończ już z tym.

Z czym? Z czym mam skończyć?

III

MAM DLA CIEBIE NOWINĘ: w zeszłym tygodniu Andrew postanowił odwiedzić córkę.

Coś takiego!

Jak wiesz, nie wrywałem się z tym, o nie, a sam fakt, że ty nigdy nie poruszyłeś tej kwestii, nie doradziłeś mi, żebym się z nią spotkał, nawet nie zapytałeś – niby to mimochodem – czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, żeby...

Taką decyzję musisz podjąć sam z siebie, musi płynąć z twojego wnętrza, twoich myśli, odczuć.

Świetnie.

Poza tym nawet nie powiedziałaś mi, jak ma na imię.

Willa. Ma na imię Willa. Przekazałem Marcie jej akt urodzenia, żeby nie było co do tego wątpliwości. Briony nadała jej to imię na cześć swojego ojca. Urocze, prawda? Willa.

Owszem, niczego sobie.

Nie możemy jednak zapominać, że ta decyzja wiązała się z wieloma problemami. Co jej powiedzieć? Jak wyjaśnić cel wizyty? Sam go nie znałem. Czy chciałem ją odzyskać? A gdyby tak, czy to byłoby dla niej najlepsze rozwiązanie? Czy gdybym się nią opiekował, nie uruchomiłby się we mnie Andrew Samozwaniec i nie sprowadził na nią jakiegoś nieszczęścia? Na własne dziecko? A jeśli Andrew chciał ją tylko zobaczyć, jak ona to przyjmie? Czy poczuje z nim jakąś więź, czy uzna go za ojca, który nie widział jej od czasu, kiedy była niemowlęciem? Jak potraktuje faceta, który pojawi się jak gdyby nigdy nic, przywita się z nią, a potem znów się ulotni? Nie wspominając o Marcie, która zapewne zatrześnie mu drzwi przed nosem.

Wydaje mi się, że prawo jest po twojej stronie. Nie jestem prawnikiem, ale więzy krwi zwykle stawia się na pierwszym miejscu. Przysługują ci prawa rodzicielskie, chyba że sąd uzna, że się nie nadajesz. Jesteś pijakiem, bezdomnym, kryminalistą czy kimś w tym rodzaju.

W jakim rodzaju?

W tym kraju nie oddaje się nikomu dzieci ot tak, nie żyjemy w średniowieczu. Kiedy zostawiałeś Willę, sporządziliście jakąś pisemną umowę? Omawiałeś to z prawnikiem? Podpisywaliście coś, ty i Martha?

Byłem zdesperowany. Potrzebowałem pomocy. Brałem pod uwagę samobójstwo.

Ach tak? To coś nowego.

Byłem w takim stanie, że rozmawiałem z Briony, jakby wciąż żyła. Zwracałem się do niej po radę, pytałem, jak przygotować mleko dla dziecka, oczywiście czytałem instrukcje na opakowaniu, ale upewniałem się, czy dobrze wszystko rozumiałem. Briony mi odpowiadała. Weź małą na ręce, połóż jej głowę na ramieniu, poczekaj, aż jej się odbije. Będzie potrzebowała cieplejszych ubranek na zimę. Pora ją zaszcześcić, zasuwasz z nią do przychodni. Śmiała się, widząc, jak domowe życie mnie przerasta. Miałem zwidy, pojawiała się obok mnie, zupełnie jak za życia, a w następnej chwili już jako mała kruszyna na kuchennym stole stawiała na rękach, robiła gwiazdy i fikała koziołki. O Boże. A ty się dziwisz, że nie omawiałem tej sprawy z prawnikiem?

Nie zatrudniłeś nikogo do pomocy?

Nikt mi nie pomagał, nawet nie przyszło mi do głowy, żeby wynająć jakąś opiekunkę, przecież miałem Briony. Zwolniłem się z pracy, wziąłem bezpłatny urlop. Potem szaleństwo ustąpiło i postanowiłem szukać pomocy. Rozpaczliwie jej potrzebowałem. Pojechałem do Marthy.

To była decyzja podjęta pod wpływem impulsu, jakby w jego umyśle przepalił się bezpiecznik, uwalniając go wreszcie od jałowych rozważań, czy ma się spotkać z córką, czy nie. Siedział w gabinecie i czytał kolejny artykuł na temat tego, w jaki sposób mózg staje się umysłem. Wysuwano w nim tezę, że w przyszłości możliwa będzie budowa urządzenia symulującego mózg, którego neuronowa aktywność doprowadzi do powstania świadomości. Nie był to bynajmniej pomysł wzięty z opowiadania science fiction, jakim Andrew zaczytywał się w młodości. Twierdzenie to, wysunięte przez szanowanego neurobiologa i zamieszczone w poważnym naukowym piśmie, tak wstrząsnęło Andrew, że wyprężył się w fotelu, jakby go poraził prąd. Uzmysłowił sobie, że w radiu nadają właśnie cotygodniową niedzielną transmisję z Metropolitan Opera, i zaczął słuchać. Domyślił się, że car Borys z *Borysa Godunowa* właśnie umiera na scenie. Nieszczęsny car głośno zawodził, skarżył się żałośnie, potem odśpiewał modlitwę, a umierając, powtarzał rosyjskie słowa: *Ja car jeszcze, Ja car jeszcze*. Potem z łoskotem upadł na deski sceny nowojorskiej opery. Pięknie brzmiący, przejmujący leitmotyw potwierdzał, że car Borys, niestety, jest kaput.

Andrew nie mógł sobie później przypomnieć, czy słyszał jeszcze moskiewskie dzwony oznajmujące radośnie śmierć tyrana, tak nagle wybiegł z mieszkania, wkładając po drodze marynarkę. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć na stację kolejową, a tam wsiadł w ekspres do Nowego Jorku.

W Nowym Jorku poszedł na dworzec Grand Central. Kupił zabawkę dla córki, śmiesznego pieska przewracającego oczkami, który po nakręceniu chwytliwie poruszał się na krótkich łapkach. Uznał, że zwierzączek to najbezpieczniejszy prezent dla trzyletniej córeczki. Każde dziecko w wieku od roku do dziesięciu lat ucieszyłoby się z takiej zabawki.

Widzisz, doktoru, w jednej chwili wszystko nagle mi się przypomniało, dom Marthy, jej zwalisty mąż – a wcale nie podejrzewałem, że to on śpiewał partię Borysa w transmitowanym spektaklu, bo uznałem, że nie należy już do gwiazd operowych pierwszej wielkości – po prostu

stanął mi przed oczami ten dom, obraz Marthy wchodzącej po schodach z moim dzieckiem na ręku. Jakby minęła ledwie chwila, a ja nadal stałem pod drzwiami ich domu, ścierając śnieg z okularów. I kiedy rozklekotany podmiejski pociąg wiozł mnie do New Rochelle, przestałem się lękać wyniku mojej wizyty, nie snułem już w myślach, zagubiony i niezdecydowany, złowieszczych scenariuszy. Niebawem miałem ujrzeć córeczkę! Przepelniała mnie miłość do Marthy i jej męża, wdzięczność za to, że przygarnęli dziecko, moje i Briony. Nawet nie przeskadzało mi to, że pociąg trzęsie jak cholera.

Zaraz powiesz mi, że nic dobrego z tego nie wyszło.

Oczywiście.

Kiedy Andrew dotarł do domu Marthy, od razu spostrzegł, że coś jest nie w porządku. Wszystkie podjazdy i chodniki przy ulicy były starannie odsnieżone, lecz posesja Marthy wyglądała na nietkniętą. Andrew zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Śnieg sięgał mu powyżej kostek. Marthę cechowało między innymi to, że utrzymywała w swoim otoczeniu nienaganny porządek. Jeśli coś nie działało, byle drobiazg, zaraz musiała to naprawić. Wzywała ogrodników, hydraulików, elektryków, stolarzy, malarzy, dekarzy, płytkarzy, szklarzy i innych fachowców w najrozmaitszych ezoterycznych dziedzinach. Troszczyła się nawet o takie detale jak mosiężne osłony dziurek od kluczy. Ponury listopadowy dzień chylił się ku końcowi. Była ósma wieczór i w sąsiednich domach paliły się światła, lecz w tym, który Andrew miał przed sobą, panował półmrok, jakby odbywał się w nim właśnie seans spirytystyczny. Nie wiem, skąd ta myśl przyszła mu do głowy. Dobrnął do drzwi frontowych, które nie wiedzieć czemu były uchylone.

[zastanawia się]

I co?

Nazwał mnie Samozwańcem.

Kto?

Zwalisty mąż Marthy. Tak mnie przywitał. No proszę, powiedział, Samozwaniec przybył. Taki przydomek nadał mi tamtego dnia, kiedy zawiozłem im dziecko, a potem wybraliśmy się na drinka. Że niby jestem tylko samozwańcem podającym się za człowieka, z pozoru miłym facetem, zyczliwie usposobionym do bliźnich, a w rzeczywistości niebezpieczną podróbką, podszytą fałszem, a do tego śmiercionośną – tak mnie wtedy podsumował. Andrew Samozwaniec. I jak już mówiłem, nie minął się zbyt z prawdą. Kiedy teraz nazwał mnie Samozwańcem, uświadomiłem sobie, kogo przedstawia portret nad kominkiem w salonie. Męża Marthy u szczytu kariery, w najważniejszej życiowej roli – Borysa Godunowa. Zapewne znasz historię Borysa Godunowa.

Wstyd się przyznać, ale...

Borys to taki Ryszard III w rosyjskim wydaniu. Morduje prawowitego następcę tronu, carewicza Dymitra. Podrzyna chłopcu gardło i sam ogłasza się carem. Potem jednak zadręcza się z powodu tego, co uczynił. Zespół stresu pourazowego.

Rozumiem.

Mijają lata i pewien sprytny mnich imieniem Grigorij, wykorzystując to, że ma mniej więcej tyle lat, ile miałby zabity carewicz, gdyby nadal żył, wyrusza pod granicę polsko-litewską,

żeby zebrać armię. Potem na jej czele wyprawia się na Moskwę, podając się za carewicz Dymitra, prawowitego następcę tronu. Doradcy zapewniają Borysa Godunowa, że to samozwaniec – że prawdziwy carewicz nie żyje. Lecz nękany poczuciem winy, trawiony zabobnym lękiem Borys nie może sam siebie przekonać, że tak jest w istocie, i umiera. Ot i cała historia.

Ciekawe, ale dlaczego...

No i jeszcze na koniec odzywa się Boży Głupiec, *jurodiwy*, przebywający na dworze Borysa Godunowa, który ubolewa nad losem Rosji, kiedy opada kurtyna. W tamtych czasach w Rosji było mnóstwo Bożych Głupców. U Szekspira też nie brak Głupców, lecz z Bogiem mają mało wspólnego. A rosyjski Głupiec jest Boży z urzędu. Oczywiście, był zalany.

Głupiec?

Zwalisty mąż Marthy. Wyciągnięty w fotelu w pełnym carskim rynsztunku, skończony jako Borys Godunow, skończony jako mąż Marthy. Ponieważ domyśliłem się, że go zostawiła. Świadczył o tym stan domu. Świadczył o tym stan zwalistego męża Marthy. Nie wiedziałem, że śpiewacy operowi dostają na własność kostiumy sceniczne – chyba nie dostają, prawda? Lecz on przywdział ciężką ozdobną szatę i wydzierganą na drutach imitację korony wysadzaną błyskotkami, z maleńkim krzyżem na czubku. Uniósł szklankę. Zdrowie Samozwańca, powiedział, lecz w tej samej chwili dostał czkawki, ręka gwałtownie mu zadrżała i chlusnął zawartością szklaneczki prosto w swoją podobiznę wiszącą z tyłu na ścianie. Ciecz, która zakreśliła zgrabny łuk w powietrzu, spływała po twarzy Borysa Godunowa, i wydawało się, że lecą mu łzy.

Naprawdę tak było?

Jak?

Że pojechałeś do domu Marthy w New Rochelle kierowany nagłym impulsem, po usłyszeniu w radiu transmisji *Borysa Godunowa*, a na miejscu zastałeś jej urzędnego męża przebranego za cara?

Nie mam ci za złe tych wątpliwości, bo sam ledwo mogłem w to uwierzyć, kiedy stanąłem w tym nieoświetlonym salonie. A tak przy okazji, ogrzewanie również było wyłączone, może to dlatego zwalisty mąż Marthy włożył ten ciężki carski strój i nabitą świecidełkami lipną koronę z dzianiny. Kto wie, może słuchał z rozgoryczeniem tej samej niedzielnej transmisji z Metropolitan Opera. Podszedłem do niego, a on spojrzal na mnie zamglonym, rozkojarzonym wzrokiem. Schudł i już nie budził swą posturą postrachu. Kiedyś był z niego kawał chłopca, z byczym karkiem, tęgi i postawny. Teraz jego podwójny podbródek, szeroka twarz, wielka głowa, wszystko to jakby się skurczyło. Jego powierzchowność, ze szczęką przypominającą kształtem kurzy obojczyk, zapadniętymi policzkami i wpatrzonymi we mnie oczkami, wskazywała na ciężką chorobę. Ogarnął mnie gniew i naskoczyłem na niego jak na pijaka, który nie zasługuje na litość.

Gdzie ona jest, gdzie jest Martha, do cholery, gdzie jest moje dziecko?

Dźwignął się z wysiłkiem i ochryplym basem zaczął śpiewać pożegnalną arię Borysa Godunowa, wyciągając do mnie ramiona.

Pobiegłem na górę, zajrzałem do wszystkich pokoi. Puste łóżeczko, otwarte opróżnione szuflady i szafy na ubrania. W głównej sypialni łóżko ze zmiętą pościelą, otwarta szafa z nagimi

wieszakami. Na podłodze walające się świstki papieru. Złożony rozkład jazdy autobusów. *Ja car jeszcze. Ja car jeszcze.* [zastanawia się] Posłuchaj, chciałbym coś wyjaśnić; obawiam się, że mogłeś odnieść błędne wrażenie co do uczuć, jakie żywiłem wobec Briony.

Chwileczkę. Co wtedy zrobiłeś?

Kiedy?

Jak zobaczyłeś, że Martha się stamtąd wyniosła.

Wróciłem ostatnim pociągiem do Waszyngtonu. Ten zapijaczony nieszczęśnik miał mniej więcej takie samo pojęcie o tym, gdzie przebywa Martha, jak ja. Nawet nie potrafił mi powiedzieć, kiedy go rzuciła. Rozglądając się dookoła, odniosłem wrażenie, że od tamtej chwili musiało upłynąć sporo czasu. Ale mała była w dobrych rękach. Martha zostawiła fortepian, który nadal stał w jej gabinecie. To oznaczało, że bez reszty poświęciła się dziecku. Nie było powodu do obaw, nic złego się przecież nie stało. Moja wyprawa nie poszła na marne: gdybym się nie zdecydował na ten krok, dalej żyłbym w błędnym przekonaniu. Więc, z pewnymi zastrzeżeniami, coś dzięki niej zyskałem.

Czy nie poczułeś czasem ulgi, że właśnie tak się skończyła?

Owszem. Dlaczego miałbym się tego wypierać? Nie ma nic bardziej przerażającego, niż spojrzeć w oczy swojego dziecka i dostrzec w nich wyrzuty. Wiem, że kiedyś i tak do tego dojdzie, to nieuniknione. Ale jeszcze nie teraz. Próbowałem ci coś wyjaśnić.

Tak?

Widzisz, stanąłem wtedy w progu, drzwi były otwarte. Zatem dla śpiewaka operowego przebranego za Borysa Godunowa, do tego mocno wstawionego, śpiewającego jego arie w salonie, całkiem naturalną rzeczą było to, że wziął stojącego w progu przybysza za Dymitra Samozwańca, który zjawił się w stolicy na czele polsko-litewskiej armii, żeby odebrać mu koronę. Myślałem, że mówi o mnie, i może tak było, lecz jednocześnie umieścił mnie w swojej operze. Byłem fałszywym pretendentem do tronu, rozumiesz?

Był aż tak zalany?

Mniejsza o to, czy był zalany, czy nie. Chodzi o to, że żył w świecie opery, a mnie obsadził w roli wroga. Poniekąd mogło to wynikać stąd, że byłem kiedyś mężem Marthy. Dlatego nadał mi ten przydomek, zaczerpnął go z historii Rosji, widząc może w tym głębszy sens. W głębi serca jestem przecież Andrew Samozwańcem. Zadowolony? To właśnie chciałeś usłyszeć? Rozwijałem pewną myśl, a ty mi przerwałeś. A tego przecież nie wolno wam robić.

Ale to jest ważne, nie sądzisz? Mąż Marthy nie doprowadził cię do szalu?

Słuchaj, facet wiedział, że zajmuję się kognitywistyką. Nie był głupi. Kiedy odchodziłem, odprowadził mnie do drzwi ze śpiewem, w który włożył całą swoją duszę. Więc nie wyciągaj pochopnych wniosków. Prawdę mówiąc, było mi go żal. Ucałował mnie w głowę, a potem padł przede mną na kolana i błagał o błogosławieństwo. Tak właśnie zachowuje się Borys w operze, błaga o błogosławieństwo Bożego Głupca, którego utożsamia z całą Rosją. Przestałem już być Samozwańcem pretendującym do tronu. Teraz wyznaczył mi rolę Bożego Głupca. A może po prostu dawał w ten sposób wyraz naszej jedności, obaj bowiem byliśmy samozwańcami, pozerami. Nie mógł przecież pominąć faktu, że sam udaje cara. Gdybyś tam był, zrozumiałbyś. Poczuliśmy braterską więź.

Więc zostałeś ulaskawiony, to próbujesz mi powiedzieć? Darowano ci karę odgrywania

Andrew Samozwańca?

Wszyscy gramy jakieś role, doktoru, nawet ty. Zwłaszcza ty. Dlaczego się uśmiechasz? Udawanie to sedno działania mózgu. Tym się właśnie zajmuje. Może nawet udawać, że nie jest sobą.

Ach tak? A udaje, że jest czym na przykład?

Najdłużej udawał, i to jeszcze do niedawna, duszę.

Obawiam się, że na podstawie tego, co dotąd powiedziałem, mogłeś mylnie zinterpretować moje uczucia wobec Briony. Muszę to wyjaśnić. Z wyjątkiem tej chwili w Kalifornii, zaraz po pożegnaniu z jej rodzicami, i może jeszcze paru innych, miłość, jaką ją darzyłem, była czysta i nieskomplikowana, co wcześniej nie zdarzyło mi się w żadnym innym związku z kobietą. Nie opowiadałem ci o moich romansach, bywały dość namiętne, lecz nigdy nie były nieskomplikowane.

Zanim ożeniłeś się z Martha?

Potem też. Sęk w tym, że w tych wszystkich związkach pozostawałem sobą. A z Briony stałem się kimś, kim zawsze pragnąłem być. Ja, człowiek od urodzenia niezdolny do odczuwania szczęścia, z Briony, o dziwo, czułem się szczęśliwy. Szczęście polega na życiu codziennością w nieświadomości tego, jak bardzo jest się szczęśliwym. Prawdziwe szczęście jest wtedy, kiedy się nie wie, że jest się szczęśliwym. To naturalny spokój, coś pośredniego między radością a zadowoleniem, pewność płynąca z osadzenia jaźni w świecie. Oczywiście mam na myśli życie w rozwiniętych krajach Zachodu. Umiarkowane oddanie się zwykłym codziennym sprawom, pogodzenie się z sytuacją życiową, czerpanie przyjemności z seksu, jedzenia, umiejętności korzystania z dobrej pogody. Kocha się nie tylko ukochaną osobę, kocha się świat, jaki jest dany. Za to uczucie prawdopodobnie odpowiedzialna jest endorfina, narkotyk wytwarzany przez mózg. Wiem, to skrzywienie zawodowe, znów przemawia przeze mnie znawca mózgu. I co z tego! Wracając z Kalifornii, mijaliśmy pokryte śniegiem górskie stoki dla narciarzy, spienione rzeki dla kajakarzy, gdziekolwiek spojrzeć, raj dla miłośników wypoczynku pod gołym niebem. Pewnego dnia przejeżdżaliśmy obok pola, na którym w oddali przygotowywali się do lotu baloniarze. Zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć, jak ospała flotylla statków powietrznych we wszystkich kolorach tęczy unosi się w swym własnym beztroskim wymiarze czasu i przestrzeni. Zastanawialiśmy się nad tym, czy Amerykanie bardziej od innych narodów doceniają to, co ziemia i niebo mają do zaoferowania. W takich chwilach bierze się życie takim, jakie jest, nie doszukuje się w nim niczego więcej. Jest takie, jakie się wydaje, nie kryjąc nic w zanadrzu. Uskrzydlająca wiara w przyszłość, synapsy rozpalone, jakby gotowe wybuchnąć metafizyczną muzyką, a ty istniejesz w błogiej świadomości zwykłego danego świata jako jedynej rzeczywistości. Oczywiście znika bez śladu poczucie winy. Strach, nieodłączny towarzysz dawnego „ja”. Wszystko to, powtarzam, sprawiła obecność Briony. Mój nieustanny zachwyt w czasie tej podróży, a zachwycalo mnie wszystko i wszędzie, w istocie płynął z radości, jaką dawało mi bycie z nią, sam fakt, że była przy mnie, każdy drobiazg, jaki się na nią składał – jej troskliwość, śmiech, to, jak patrzyła mi w oczy, prostota, z jaką o siebie dbała: nie lubiła się malować, nie stroiła się, włosy, starannie rozczesane, czasami związywała, czasami nie. Już sam

sposób, w jaki od czasu do czasu je upinała, wyrażał różne aspekty jej istoty. Kiedy na długich prostych odcinkach drogi, ciągnących się przez wiele kilometrów, zapadało między nami milczenie, siedziała z założonymi rękami albo wybierała muzykę w radiu. To ona ustalała, czego będziemy słuchać. Stwierdziła, że mam wiele do nadrobienia w tej dziedzinie, i miała rację, bo na dobre ugrzązłem w epoce Beatlesów i Grateful Dead. (Aha, więc słuchasz umarlaków, powiedziała). Nie bałem się o nią, wiedziałem, że nie padnie ofiarą Samozwańca. Skończyłem z nim. Zmieniałem się, miałem przeistoczyć się w Bożego Głupca.

Jak już mówiłem, przejeżdżaliśmy przez kolejne stany, a ten nowy Andrew już się nie bał, już się o nią nie martwił. Wszystko go zadziwiała. Skarpy z czerwonej skały, niekończące się pola pszenicy, miasteczka z jedną zakurzoną ulicą, przydrożna jadłodajnia, gdzie klienci nakładali sobie dania z parujących metalowych pojemników i podchodzili do kasy, a tabliczka wisząca na ścianie informowała: „Sprawna i uprzejma samoobsługa”. Osiedle barakowozów spowite tumanami piasku, wywieszzone na linkach pranie targane wiatrem, motel z purpurowym dinozaurem na dachu, długie drewniane jednoizbowe kościoły baptystów, z wystawionym od frontu cytatem z Biblii na dany dzień, miasteczka, które wyglądały tak, jakby w ogóle się nie zmieniły od czasów wojny secesyjnej, ze skrytymi w cieniu dębów dworami z kolumnowym gankiem. W Atlancie zatrzymaliśmy się przy księgarni i kupiliśmy stertę książek Marka Twaina, a na autostradzie to z nas, które akurat nie prowadziło – zmienialiśmy się za kierownicą, Briony prowadziła dobrze, nie spieszyła się, ale też nie guzdrała – czytało na głos. Zerkalem na nią w bursztynowym świetle przydrożnych lamp i dostrzegałem w jej oczach Marka Twaina, widziałem, jak rozpała jej wyobraźnię...

Więc czytaliście sobie na głos twojego MT. Czyżby *Przygody Hucka Finna*?

Nie, *Książca i żebraka*. Dwóch chłopców zamienia się tożsamością, książę staje się żebrakiem, a żebrak księciem. Briony była tym zachwycona. Clemens udowadnia, że królewskość to rzecz umowna, nic więcej. Lecz ta historia to nie tylko demokratyczna przypowieść, to wymarzony temat dla badaczy mózgu. Zależnie od okoliczności każdy może przybrać dowolną tożsamość, ponieważ wprawny mózg w kilka sekund potrafi się przeprogramować. Może być w nim wryta konkretna jaźń, ale kiedy neurony zaiskrzą, jest po sprawie.

Nie potrafię umieścić tej waszej podróży w czasie. Czy Briony skończyła studia licencjackie? Mówiłeś, że była na drugim roku, kiedy się poznaliście? Uczelnia przedłużyła z tobą umowę na kolejny rok?

Pamiętam, jak wjechaliśmy na płatną autostradę w New Jersey, obok ciągnęły się wieże rafinerii, zakończone płomykami ognia, uszy rozsadał nam warkot sunących stadami ciężarówek, a po lewej, na lotnisku w Newark, schodziły do lądowania samoloty; potem mijaliśmy pola spalonej trawy poryte błotnistymi strugami, a w górze krążył jakiś drapieznik, chyba myszołów. Wiadukt autostrady wspierał się na betonowych słupach, które podtrzymywały

swoją masą cały ten wściekły ruch, białe światła zbliżały się z naprzeciwka, czerwone przyzywały nas z oddali. Spojrzałem na Briony: patrzyła prosto przed siebie, wyraźnie oszołomiona natłokiem świetlnych sygnałów, w jej oczach malował się nie tyle strach, ile dziewczicza reakcja na nieoczekiwane. Zastanowiła mnie wtedy kwestia, jak długo trwa przewiezienie młodej kobiety z jednego krańca Stanów Zjednoczonych na drugi. O co pytałeś?

Czy Briony rzuciła dla ciebie studia?

Kiedy się pojawiłem na uczelni, Briony była na trzecim roku. Studia ukończyła w styczniu, nie było nowego naboru na semestr wiosenny. Miała się różnych dorywczych prac, mnie zgodnie z umową pozostał na uczelni jeszcze jeden semestr. Briony czasami przychodziła na moje wykłady i siadała w pierwszym rzędzie. Jej obecność sprawiała, że przekazywałem studentom wyłącznie pomyślnie wieści: o postępach w neurobiologii dokonujących się niemal z dnia na dzień. Byłem dobrej myśli, przewidywałem przyszłość pełną przełomowych odkryć. Stąd brał się umiarkowany optymizm sali wykładowej, na tym założeniu opierał się każdy kurs – że w końcu poznamy prawdę. Powoływałem się na Whitmana, który jak mało kto zgłębił naszą istotę i opiewał „elektryczność ciała”. Przyjemnie było tym dzieciakom usłyszeć, że ciało jako mózg i mózg jako ciało tworzą jedność. Zataiłem przed nimi, że Whitman to poeta. Wszystko by to popsulo.

Wyrwałem Briony z jej uporządkowanego życia, zdjąłem z gimnastycznego drążka, i tak oto przenieśliśmy się do Nowego Jorku. Pokochała to miasto. Po pewnym czasie znaleźliśmy mieszkanie w West Village, w przerobionym magazynie z rampą, żelaznymi kratami w oknach, skrzypiącą windą i starymi, zmatowiałymi podłogami z desek. Trzy słoneczne pokoje, ulice obsadzone drzewami i fantastyczne sklepy, włoska piekarnia na rogu, warzywniak prowadzony przez Koreańczyków, kawiarnia, stoisko z gazetami. Wszyscy sklepikarze oczywiście od razu zaprzyjaźnili się z Briony. Ponieważ była uroczą, otwartą, pogodną, przyjazną, ciekawą ludzi. Odnosiła się z serdecznością do zrędliwych nowojorczyków, którzy ku swemu własnemu zdziwieniu odpłacali jej tym samym. Andrew, mamy tu wszystko, czego nam trzeba, orzekła, nie musimy jeździć do galerii handlowej, kto to w ogóle wymyślił! Wszędzie chodziliśmy piechotą, lubiła odkrywać Nowy Jork. Poszliśmy do Chinatown, odwiedziliśmy nawet Washington Square, gdzie kiedyś mieszkałem. Wkrótce znała Nowy Jork jak własną kieszeń.

Z czego się utrzymywaliście?

Podpisałem umowę z wydawcą podręczników, miałem opracować coś w rodzaju zeszytu ćwiczeń z kognitywistyki. Potem to samo wydawnictwo zleciło mi recenzowanie książek naukowych i nadsyłanych propozycji wydawniczych. A Briony udzielała korepetycji z matematyki. Umieściła ogłoszenie w Internecie i niebawem miała więcej chętnych, niżby chciała, uczniów szkół podstawowych i średnich, co dobitnie świadczy o stanie oświaty w naszym kraju. Dobrze sobie radziliśmy. Ale zaznaczam, mówię o okresie, zanim urodziło się nam dziecko. Kiedy przyszła na świat nasza córeczka, włoski piekarz, starszy pan, przyniósł tort, Koreańczycy przysłali kosz z owocami. Wszystkie panie z sąsiedztwa od początku śledziły ciężę Briony, jako młoda matka przy nadziei była oczkiem w głowie tej małej społeczności, a gdy pewnego wiosennego dnia po raz pierwszy wyszła na spacer z Willą w nosidelku na piersi, co chwila wyrastali wokół niej ludzie podziwiający uroczystą procesję Matki i Dziecięcia. Co parę kroków ktoś się przy niej zatrzymywał i rozplýwał w zachwycie nad małą.

A ty?

Cóż, ja też, rzecz jasna, uczestniczyłem w tych wydarzeniach, tyle że zszedłem na dalszy plan. Nie byłem w tak dobrej komitywie z sąsiadami jak Briony. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy, milczący, z czasem przestałem być zauważany. Ale powiem ci jedno: wspaniale było przyglądać się, jak Briony zajmuje się naszą córeczką, promieniejąca szczęściem, wpatrzona w dziecko, czasem przenosząc spojrzenie na mnie z wyrazem takiego spełnienia, jakby ogłaszała w tej chwili cudowność życia. Wszystko to wypisane było w oczach mej kochanej dwudziestodwuletniej oblubienicy, która miała w sobie moc zdolną całkowicie mnie przemienić, zrobić ze mnie kogoś przypominającego normalnego, pełniącego swą rolę obywatela świata. [zastanawia się] O Boże.

Chusteczki leżą tam na stole.

Teraz już wiesz, dlaczego tu trafiłem.

Wiem.

Ten przeklęty myślący mózg jest jak więzienie. Mamy w głowach półtorakilogramowe twory, które nas zniewalają.

Czujesz się uwięziony?

Tak, zorientowałem się jakiś czas temu. Skazany na izolatkę, wyprowadzany na godzinne spacerunki w celu pobudzenia pamięci. Jesteś psychiatrą rządowym, prawda?

Mam uprawnienia do wykonywania zawodu, jeśli o to ci chodzi.

A ja myślałem, że jesteśmy towarzyszami podróży. Przemierzasz tę drogę razem ze mną. Z drugiej strony uważam, że kiepski z ciebie podróżnik. Podejrzewam, że nigdy nie byłeś w Zagrzebiu.

W Zagrzebiu?

Jest tam park, w którym każdy krzew, każda gałązka z kwiatami opatrzone są tabliczką umieszczoną na metalowym stojaku. Trzeba się pochylić, żeby odczytać łacińską nazwę. Spacerowałem tam z tą kobietą, która robiła fikołki w powietrzu.

Ach tak.

To była oczywiście prostytutka. Sam nie wiem, dlaczego powiedziałem jej alfonsovi, że ten numer to za mało, żeby przyciągnąć widzów, i że powinien wzbogacić program. Może byłem pijany. Może tylko mi się wydawało, że wykonuje pełne salto w powietrzu. Była drobną, cichą kobietą, nawykłą do uległości. Uśmiechała się przez łzy, kiedy tego chłodnego jesiennego popołudnia prosiła mnie, żebym zabrał ją z Zagrzebia, w parku ze starannie opisanymi krzewami, jakby rzeczywiście był to zakątek cywilizowanego świata, który nie zaznał wojennej zawieruchy, którego rodzima ludność wcale nie ziała nienawiścią do Serbów czy Bośniaków i w czasie drugiej wojny światowej nie utworzyła marionetkowego państwa pod egidą hitlerowców. Uznałem ten spokojny, skrupulatnie zewidencjonowany park z rozwiewanymi przez wiatr jesiennymi liśćmi za podjętą w imię cywilizacji próbę odciążenia się od krwawej historii tego kraju.

Jak tam trafiłeś?

Zwiedzałem Europę. Jeździłem autostopem z kolegami ze studiów, początkowo podróżowaliśmy razem, potem nasze drogi się rozeszły, a ja wylądowałem w Zagrzebiu. W hotelu starszy facet grał na pianinie amerykańskie szlagiery sprzed lat, jakby to były

najnowsze przeboje. *My Blue Heaven, How High the Moon, Mr. Sandman*. Szttywne, toporne wykonanie bez synkopy zdradzało, że kształcił się w konserwatorium. Nawet Martha umiała poprawnie zagrać swinga, jeśli była w nastroju. Przypuszczam, że grał je specjalnie dla mnie, jako jedyne Amerykanina wśród publiczności. Mała, ciemna sala restauracyjna, czerwone draperie, wyściełane krzesła i kanapy z odcisniętymi zarysami pośladek. Kilkoro gości siedzących przy stolikach w wyczekujących pozach, nad nietkniętymi drinkami. Kelner przysypiający w kącie. Wydawało się, że wszyscy są w znowie – rosły, potężny alfons, pianista i goście – jakby swoją obecnością usiłowali dowieść, że warto tu być, w tym podrzędnym hotelu w przygnębiająco nijakim mieście, obojętnym nawet dla własnych mieszkańców. Ta kobieta od fikolków nie była jedyna.

Jedyna, która co?

Która prosiła, żebym zabrał ją ze sobą.

Więc to nie był sen.

W Sankt Petersburgu z tą samą prośbą zwróciła się do mnie pewna dziewczyna. Nie pamiętam, jak się poznaliśmy. Może w Ermitażu? Dziewczyna o urodzie cherubina. Jej łydki w białych podkolanówkach doskonale pionowo wskazywały niebo, ale okazałe uda odchodziły od siebie łukiem, niczym ramiona w cyrku kalibrowym.

Po co mi to opowiadasz?

Bo zapadło mi w pamięć. Bo nie chcę rozmawiać o tym, co się stało. Gdziekolwiek się pokazałem, od razu rzucało się w oczy, że jestem bez forsy. Biedny student z plecakiem, chudy i wiecznie załęczniony. Ale przyparty do muru, człowiek porywa się i na takie przedsięwzięcia. Z moim amerykańskim paszportem wszędzie byłem mile widziany. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Próbuję dać ci do zrozumienia, że zanim się ożeniłem z Marthą, miałem na koncie sporo przygód z płcią przeciwną.

Rozumiem.

Moje wcześniejsze doświadczenia z kobietami pozbawiły mnie iluzji. Więc nie przypisywałem Briony moralnego piękna, przyrodzonej prawości, nie wyuczonej. A ona te zalety naprawdę w sobie miała. Z natury. Jediną rzeczą, jaką ćwiczyła, była gimnastyka. Dzięki tej dziewczynie doznałem objawienia. Nie chodziło tylko o śmierć mojego dziecka z pierwszego małżeństwa. W młodości, zanim stałem się tym przebiegłym, zatwardziałym samozwańcem, przejawiałem głupią, chojracką nieczułość, po prostu wszystko z wysoka olewałem, jak zresztą sporo moich kumpli z uczelni.

Rozumiem.

Na studiach dość długo byłem w pewnym związku. Ale ani myślałem się żenić. Więc kiedy odebraliśmy dyplomy, siłą rzeczy się rozstaliśmy. Ona wyjechała do Hiszpanii, jeśli się nie mylę, miała licencjat z literatury porównawczej: ładna, wysoka dziewczyna z ciemnymi oczami. Wkrótce potem trafiły do mnie zdjęcia z jej ślubu. Jej wybrankiem okazał się kognitywista, mało tego, nawet do mnie podobny. Kilka lat później napisała do mnie, że się z nim rozwodzi, wtedy zrozumiałem, że między nami wszystko skończone. Uśmiechasz się.

Owszem.

A to wcale nie było zabawne. Łączyła nas namiętność, nie potrafililiśmy ze sobą zerwać. Na drugim roku zaszła w ciążę. Walkowaliśmy ten temat przez kilka ponurych miesięcy.

Nieoczekiwanie poroniła. Byłem u niej, kiedy to się stało. Zawołała mnie do łazienki. Woda w misce klozetowej miała kolor śliwkowy, unosiła się w niej moja miniaturka, zwinięta, z podkurczonymi nogami. Mniejsza od myszy, lecz wyraźnie podobna do tatusia: miała moją baniastą głowę, zmarszczone gniewnie brwi i spiczasty podbródek. Mój dziedzic, oczywiście zapatrzonej w siebie. Nie wyglądał na zadowolonego.

IV

Wiem, że kiedy rodzi się dziecko, mężowie schodzą na drugi plan. Trzeba się po prostu liczyć z tym, że więź między matką a niemowlęciem okaże się ważniejsza i miejsce męża zajmie uzurpator.

Tak się czasami dzieje.

To samo stało się z Briony: skupiła się na dziecku, może nie całkowicie, ale i tak dało mi to powód do niepokoju. A jeśli kryło się za tym coś więcej? Zauważyłem, że kiedy zostawiałem rozrzucone rzeczy, gazety, książki, ona zaraz je podnosiła i odkładała tam, gdzie jej zdaniem było ich miejsce. Miała zatrwajające zamilowanie do porządku. Wiedziałem, że w miarę upływu czasu różnice w naszych nawykach będą się pogłębiać. Zacząłem zastanawiać się nad przyszłością – dzieląca nas różnica wieku zacznie się coraz bardziej uwidaczniać. Postanowiłem zacząć ćwiczyć i zapisałem się na siłownię.

Nieosiągalne.

Naprawdę.

Wkroczyłem do świata, w którym rządziły fachowe określenia skrócone do pierwszej sylaby. Nikt nie posługiwał się tam dłuższymi wyrazami. Nienawidziłem siłowni, tych herosów z pasami ochronnymi na biodrach, którzy wyciskali sztangi obwieszane żelaznymi talerzami wielkości wjazdu do studzienki ściekowej, stękali, krzyczeli, prężyli mięśnie, obnosząc dumnie swe wyrzeźbione ciała. Miałem tego dość już po kilku minutach, w pocie czoła wykonując serię piętnastu powtórzeń któregoś z ćwiczeń. Dlaczego akurat piętnaście było tam uświęconą liczbą, tego nie dowiedziałem się nigdy. Briony pochwałała moją decyzję – uznała, że to dobry pomysł, żebym się trochę poruszał, oderwał od biurka i poćwiczył mięśnie. Mózg się od tego rozwesela, nie wiesz, oznajmiła tonem niemal nonszalanckim, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem. Jakbym to nie ja uczył ją o powiązaniu mózgu z ciałem.

Nie uważasz, Andrew, że czasami reagujesz nieco przesadnie?

W dziewiętnastym wieku praca polegała na wysiłku fizycznym. Kowale, ślusarze, pomocnicy murarza, rolnicy, budowniczości zapór, kopydołki, robotnicy układający tory kolejowe, rzeźnicy... oni nie musieli zaprzętać sobie głowy ćwiczeniami. Słyszałeś o maratonie nowojorskim?

Oczywiście.

Gdybym miał kiedyś przeprowadzić poważne badania w dziedzinie neurobiologii, zająłbym się mózgiem zbiorowym. Jak u mrówek albo pszczół.

Dlaczego?

Mózgiem w mrowisku jest kolonia. Mózgiem w ulu jest rój. A my jesteśmy podatni na zbiorowe urojenia, udziela nam się szaleństwo tłumu. Nawet facet, który to pisał, nie zrozumiał do końca wagi swojego odkrycia.

Chodzi ci o takie zjawiska jak tulipanomania w siedemnastowiecznej Holandii?

Dlaczego lawice ryb nagle zmieniają kierunek niczym jeden organizm? Dlaczego stada ptaków, bez przewodnika przecież, tworzą podczas lotu rozmaite układy z precyzją, której mógłby im pozazdrościć zespół baletowy? A weźmy, na przykład, wojny. Kiedy już wybuchną, rozprzestrzeniają się z niepohamowaną siłą. Albo dziwaczne rytuały, rozmaite praktyki religijne, bez względu na to, jakiemu bogu służą. A ludzie chodzący do parku w niedzielę? Dlaczego właśnie niedziela jest dniem przeznaczonym na spacer po parku?

To dzień wolny od pracy, czas spędzany z rodziną. Budujemy miasta i zakładamy w nich parki z oczywistych i uzasadnionych powodów.

Mylisz się, doktorku. Park staje się naprawdę parkiem w niedzielę, bo z samej definicji wymagana jest obecność w nim sporej liczby odwiedzających. Bo park staje się parkiem wtedy, kiedy rodzi się w nim ludzka kolonia, a fakt, że żyje ona tak krótko, nie powinien nam przesłaniać powtarzalności tego zjawiska.

Andrew...

Zbiorowy mózg to potężna rzecz. Ale daleko nam do mrówek, do pszczół. One wykształcają mózgi w postaci chmur feromonów, wszystkim sterują odpowiednie chemiczne instrukcje – rozrodem, wojną, wyprawami w poszukiwaniu pokarmu. Może za milion, a może za miliard lat, kiedy nasza planeta wyschnie na wiór, a ludzka rasa wyginie, nastaną rządy mrówek albo muszek owocówek, albo jednych i drugich. Nasi następcy będą przejawiać zamilowanie do archeologii, będą wędrować po ruinach naszych miast, składać nasze szkielety, wystawiać nasze szczątki na pokaz w muzeach historii przyrody, będą wlatywać przez okna do naszych ogołoconych mieszkań, przemieszczać się szybami wind, zapuszczać w podziemne tunele, próbując zrozumieć, kim byliśmy i co zamierzaliśmy osiągnąć w tych swoich dziuplach ze stali i kamienia, i po jaką cholereę przenosiliśmy się z miejsca na miejsce tymi zardzewiałymi urządzeniami zalegającymi na ulicach i lotniskach.

Chcesz powiedzieć, że one nas przeżyją?

Zbiorowy mózg kolonii mrówek nie jest przypisany do ciała żadnej z robotnic. To tożsamość kolonii zawarta w obłoku chemicznych związków, rządząca zachowaniem każdego z tworzących ją osobników. Dzięki temu, patrząc na mrówki, można odnieść wrażenie, że wiedzą, co robią. I dlatego to robią. Nie można też wykluczyć, że mózg kolonii obdarza każdą pojedynczą mrówkę inteligencją, której samotnie nigdy by nie wytworzyła. To niesamowite. Dzięki niej szanse gatunku na przetrwanie są dużo, dużo większe.

Przypominam sobie, że cytowałeś wypowiedź Marka Twaina o głupocie mrówek.

Chodziło mu o jedną konkretną mrówkę, która odłączyła się od stada i włączyła samopas. Nie zapominaj, że mrówka potrafi udźwignąć ciężar trzylub czterokrotnie przewyższający jej

wagę. Pakerzy targający pokrywy do studzienek na siłowni nie umywają się do niej.

Dlaczego poruszyłeś ten temat?

Bo my sami, jakby powodowani zawiścią, nieudolnie usiłujemy wytworzyć coś na kształt mózgu grupowego. Poddajemy się na określony czas większej społecznej umysłowości i postępujemy wedle jej nakazów tak, jak pojedyncze komputery zrzekają się własnych umiejętności na rzecz sieci, w którą są połączone. Może marzy nam się sytuacja, w jakiej znajdują się te stworzenia, mrówki, pszczoły, gdzie myślenie dokonuje się w ramach usługi zewnętrznej. Inteligentna chmura, chemiczny *Übermensch*. A to już traci politykę.

Chyba nie mówisz poważnie.

Słyszałeś o Emersonie? W przypadku istot rodzaju ludzkiego Emerson mówi o nadrzędnej duszy. Nadaje temu zjawisku romantyczną otoczkę, traktuje na miarę Boga, opierając na tym system etyczny. Tymczasem przedmiotem jego dążeń jest coś w rodzaju powszechnego feromonowego geniuszu.

Naprawdę zamierzasz podjąć te badania?

Albo weźmy modę. Nawet Briony nosiła dzinsy. Nawet ja. Albo mowę potoczną: niektóre wyrażenia tak łatwo się przyjmują, są na ustach wszystkich, stają się nieodzowne, wszechobecne, a potem równie szybko wychodzą z użycia. [*zastanawia się*] Tak?

Jakie masz plany na przyszłość?

Nie rozśmieszaj mnie, doktorku. Przecież opowiadam ci o tym, jak moje życie legło w gruzach.

Szykowaliśmy się do wyjścia. Niedziela rano, piękny majowy poranek. Zaplanowaliśmy brunch we francuskiej knajpce przy Sullivan Street. Briony była w ósmym miesiącu ciąży i ruszała się dość powoli. Czekając, aż będzie gotowa, włączyłem nowy telewizor, który kupiłem dla potwierdzenia faktu, że stanowimy rodzinę z prawdziwego zdarzenia. Tak się złożyło, że nadawali właśnie reportaży o nowojorskim maratonie. Na ekranie ukazali się maratończycy w całej swej wielobarwnej krasie, płynący strumieniem przez Verrazano Bridge. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę wśród nich Briony. A ona nagle pojawiła się obok mnie, jakby zeszała z ekranu.

O wyjściu na brunch nie było już mowy, Briony tkwiła przed telewizorem jak urzeczona.

Nie uważasz, że to niezwykle widok, tłum biegaczy przelewający się przez srebrzysty most niczym fala przyplwywu, tysiące osób poruszających się w jednym rytmie, ludzka rzesza dobrowolnie wystawiająca się na próbę? Czy zdoła pokonać czterdzieści dwa kilometry i nie paść przy tym trupem gdzieś po drodze? Muszę przyznać, że ze swoimi odniesieniami do starożytności ma w sobie ujmującą czystość i prostotę. Niesamowite, jaką frajdę sprawia ludziom wyzwanie, z którym przecież nie wiąże się żadna nagroda poza satysfakcją, że się mu sprostało. Oczywiście są honoraria dla zagranicznych długodystansowców światowej klasy, którzy przekraczają linię mety na długo przed resztą biegaczy, kobiet i mężczyzn, o podobnych szczupłych, sprężystych ciałach, w takich samych szortach i koszulkach, tak że trudno ich nawet rozróżnić. [*zastanawia się*] Ona oczywiście wcześniej o tym maratonie nie słyszała; właściwie oboje daliśmy się wówczas porwać, unieść na fali.

Rozumiem, że widok tych biegaczy okazał się brzemienny w skutki?

Domyśliłem się tego, jeszcze zanim zdążyła to ogłosić. Briony oświadczyła wtedy wszem wobec, że zamierza wystartować w najbliższym maratonie. Podkreśliła to zdecydowanym skinieniem głowy. Zaciśnięciem pięści. Przecież kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wywijiała jak szalona na drążku gimnastycznym. Uśmiechnąłem się, nie mogłem się powstrzymać – z bruchem jak wielki dojrzały arbus zapowiedziała, że zacznie trenować zaraz po porodzie. Lecz Briony wcale nie żartowała, była wręcz obrażona, że nie biorę jej na poważnie. Chcę pobiec w maratonie, Andrew, i pobiegnę. Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. To już postanowione, koniec, kropka.

Nie pierwszy raz Briony sprawiała wrażenie krnąbrnego dziecka, które gdy raz się na coś uprze, nie da sobie wybić tego z głowy. Zrozumiałem wtedy, że pewnie nieraz dawała popalić Billowi i Betty.

Nie mogła oderwać oczu od telewizora. Kamera pokazywała ludzi, którzy stali wzdłuż trasy, podając biegaczom kubki z wodą i dodając im otuchy; niektórzy biegacze utykali, wielu dyszało ze zmęczenia, na ich twarzach malowało się napięcie, skupienie tak intensywne, że od razu można się było domyślić, że nie widzą i nie słyszą niczego poza kawałkiem chodnika przed sobą i mechanicznym tupotem swoich stóp. Spojrzałem wtedy na Briony i zobaczyłem lzy płynące jej po policzkach. Serce mi się ścisnęło. Siedziała na kanapie pochylona do przodu, jakby była świadkiem nabożeństwa. Nie śmiałem więc kwestionować jej postanowienia. Kiedy program się skończył, przytuliłem ją i nie napomknąłem nawet słowem, co o tym sądzę: to czyste szaleństwo zakładać teraz, w czerwcu, z dzieckiem w drodze, że po porodzie prędko odzyska formę i zdąży w ciągu tych kilku miesięcy – bo bieg odbywa się w listopadzie – przeobrazić się w maratończyka zdolnego pokonać czterdziestodwukilometrową trasę prowadzącą przez wzgórza i mosty na terenie pięciu gmin. Zapewniłem ją jedynie, że razem z dzieckiem będę na nią czekał na mecie w Central Parku.

Willa, całkiem rozsądnie, postanowiła przyjść na świat kilka dni później. Jak myślisz, ile czasu minęło, nim Briony zaczęła trenować do maratonu? Zrywała się o poranku i biegła, pchając przed sobą wózek z dzieckiem. Czasami jeździliśmy razem taksówką do Central Parku, Briony robiła rundy dookoła jeziora, a ja pilnowałem małej. Siadałem na ławce i czytałem, a kiedy Willa marudziła, brałem ją na ręce i karmiłem z butelki – niczego się nie bałem. Po pewnym czasie pojawiała się Briony, tryskająca zdrowiem, uśmiechnięta, z lśniącymi ramionami, w koszulce mokrej od potu. Kiedy odchylając do tyłu głowę, łapczywie piła wodę, przyglądałem się jej ślicznej szyi, patrzyłem, jak pracuje jej przelyk. Potem siadała na ławce na słońcu, rozpinając stanik i podsuwała małej pierś: matka i dziecko, sakrament natury w samym środku zielonego parku, w którym spacerowały całe rodziny, czekały psy, dzieciaki śmigały na hulajnogach, raz trafił się nawet sprzedawca balonów.

Prawdziwa sielanka.

Jak to się dzieje, że świeżo upieczone mamy od razu wiedzą, na czym polega macierzyństwo? Coś, co tkwiło w ich mózgu od zawsze, nagle się uruchamia? I do tego są świetnie zorganizowane. Briony potrafiła znaleźć czas na wszystko – dziecko, korepetycje,

opiekę nad starą, schorowaną sąsiadką. W najgorętsze dni, w lipcu i w sierpniu, zrywała się skoro świt i przebiegała dziesięć, piętnaście kilometrów, mijając ludzi śpieszących do pracy. W śródmieściu wyszukiwała biurowiec, w którym mogła wbiec do góry po schodach, i pokonywała dziesięć, piętnaście pięter, żeby wzmocnić mięśnie.

Rozumiem, że to pochwalaleś.

Oczywiście. Przecież sam ćwiczyłem na siłowni. Stanowiliśmy drużynę, włącznie z Willą, która miała kibicować mamie podczas maratonu. Jak tylko Briony wychodziła za próg mieszkania, zaczynała biec, a jej stopy ledwo dotykały ziemi. Nogi jakby jej się wydłużyły, wydawało się, że mknie w powietrzu jak tancerka w klasycznym balecie. [zastanawia się]

I co było dalej?

Poza telewizorem kupiłem też automatyczną sekretarkę. „Halo. Briony? Bri, to ty? Mówi Dirk! Dostałem ten numer od twoich rodziców”.

Jej dawny chłopak? Ten sportowiec?

Briony akurat nie było w domu. Wyszła do jednego z uczniów.

Powiedziałeś jej?

Oczywiście. Oddzwoniła do niego, zaprosił ją na lunch, a ona się zgodziła. Powiedziała mi, że dostała pracę w domu maklerskim w śródmieściu.

Rzucił futbol?

Podobno nie mógł przejść na zawodowstwo. Skończył zarządzanie, jego ojciec miał znajomości w Nowym Jorku.

I co ty na to? Co wtedy czułeś?

Co czułem? Tego wieczoru w łóżku czułem, że Briony przytula się do mnie tak jak zwykle. Czułem, że dziecko, którego się razem dorobiliśmy, leży obok w kołysce. Czułem bicie serca Briony jak mego własnego. Po co zadajesz takie pytania? Miłość mego życia miała okazać się osobą wiarodolną, to ci chodzi po głowie? To właśnie miałem sobie pomyśleć? Wszystko wypisane było na jej delikatnej, prostolinijnej, uroczej młodej twarzy, której obce były podstępny czy sekrety – że już dawno podjęła decyzję i założyła rodzinę. Dlaczego miałyby się z nim nie spotkać, w końcu byli starymi znajomymi? W ogóle nie poruszaliśmy tego tematu.

Więc nie przejąłeś się tym.

Prawdziwy problem tkwił w dacie spotkania. Umówili się na niewłaściwy dzień. Ranek tego dnia, w którym mieli wspólnie zjeść lunch, okazał się feralny. [zastanawia się] Można tak to ująć. Wstała nieco później, bo Willa źle spała w nocy. Dochodziła ósma, kiedy wyszła z domu, żeby pobiegać. Czekał ją pracowity dzień. Po treningu miała wziąć prysznic, ubrać się odpowiednio do restauracji, sprawdzić, czy sąsiadka czegoś nie potrzebuje, a po lunchu z Dirkiem umówiona była jeszcze na dwie godziny korepetycji. Tak, tego dnia miało się wiele wydarzyć. [zastanawia się] Pocałowała mnie w policzek. Willa lubi z rana tarte jabłko, powiedziała i wyruszyła w zaplanowaną na ten dzień trasę: wzdłuż rzeki Hudson do Esplanady, przez Liberty Street, może po drodze kilka pięter w World Trade Center, a potem na północ po Broadwayu.

„Briony, nic z tego. Muszę odwołać nasze spotkanie”. Śmiech przechodzący w szloch. „Chciałbym zobaczyć cię po raz ostatni, naprawdę. Ale wtedy musiałabyś tu przyjechać,

a wolałbym oszczędzić ci tego widoku. Dobrze, że chociaż mogę z tobą porozmawiać – słyszysz mnie, Briony? Halo? O Boże. Gadam do automatycznej sekretarki”.

Andrew, co to za przedstawienie?

Odtwarzam nagranie Dirka. „W porządku, profesorku, to tobie zostawię wiadomość. Bo to twój głos, prawda? Właśnie stoję w oknie. Na skraju parapetu. Wysokość jest zawrotna. Upał... Mam pod stopami nagrzaną stal... Czy to nie zabawne, że twoja sekretarka zapisuje moją pożęgalną wiadomość, bo zaraz ze sobą skończę. Mnie już nie będzie, ale ty zostaniesz, profesorku... Człowiek nie ma słuchu nietoperza ani wzroku sokoła. Pamiętasz, jak mówiłeś nam to na wykładzie? Nasza wiedza jest ograniczona. Pamiętasz? Chciałem cię wtedy zapytać, to dlaczego, kurwa, jesteś taki pewny, że Boga nie ma? Usłyszeć twoją wykrętną odpowiedź”.

Rozgadał się chłopak. Że też przyszło mu to wtedy do głowy.

Przekazuję ci jego słowa. Chwile milczenia wypełniał odgłos naciągającej niewyobrażalnej katastrofy. Gdy znów się odezwał, jego głos jakby dochodził z oddali. „Moja wiedza na temat skoków z takiej wysokości mówi mi, że umrę... jeszcze zanim uderzę o ziemię. Przynajmniej taką mam nadzieję. Taką mam nadzieję. Czy to przypomina latanie? Zaraz polecę, będę swobodnie opadał. To mnie trochę ochłodzi, bo tu jest gorąco jak w piekle. Już czas, od nagrzanego stali topią mi się podeszwy butów. Wystarczy jeden krok, nic mnie nie powstrzyma, nic. Włożę telefon do kieszeni, będziesz słyszał, jak lecę, zachowasz to dla potomności, wykorzystasz na wykładzie: Jak zginął kochanek Bri. Profesorku, ty stara pierdoło, ukradłeś mi ją, omamiliś ją swoją mądrą gadką. Pamiętaj, dbaj o nią, poświęć się jej, bo jak nie, to wrócę i będę cię straszyl. Będę nawiedzał twój pieprzony mózg”.

Dobry Boże...

I wtedy usłyszałem buchający za nim płomień, świst niczym oddech potwora, i wydaje mi się teraz – a wsłuchiwałem się w to nagranie tyle razy, że już nie muszę go odtwarzać, żeby je słyszeć – że docierają do mnie głosy wszystkich osób, które razem z nim były wtedy na dziewięćdziesiątym czwartym piętrze, ginących w ogniu: ich krzyki to ostatni fizyczny ślad spopielonych ciał, straszliwy upiorny chór zlewający się ostatecznie z hukami pożaru, trzeszczeniem i skrzypieniem udręczonej stali, oleistym dymem płomieni, które znajdując w oparach nową pożywkę, buchały ze zdwojoną siłą. Potem słyszę świst powietrza stawiającego opór spadającemu ciału, jak narastający ryk silnika odrzutowego, coraz głośniejszy, coraz bardziej piskliwy. Po kilku sekundach odgłos ustaje, słyszę tylko jego brak, a po nim sygnał automatycznej sekretarki obwieszczający koniec nagrania.

Więc to się stało tamtego ranka.

Tak.

I co zrobiłeś?

Nic.

Nie rozumiem.

Nic! Kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem migające światełko automatycznej sekretarki, było już po wszystkim. Jezu, ty chyba bawiłeś wtedy gdzieś w dalekich stronach, doktora. W całym Nowym Jorku nie było osoby, która nie pojęłaby w mgnieniu oka, co się wydarzyło.

Gdzie była Briony, gdzie była moja żona?! Chwyciłem małą i wybiegłem na ulicę, żeby jej szukać. Wołałem jej imię. Łudziłem się, że zaraz wyłoni się zza któregoś budynku. Wozy strażackie, krzyżące tłumy przelewające się ulicami, wyjące syreny, ten cały zamęt jakby ją pochłoniął. Gdzie była Briony? Na pewno przede wszystkim pomyślałaby o dziecku. Wróciłaby jak najszybciej do domu, żeby upewnić się, że Willi nic się nie stało. Mam rację? Więc gdzie mogła być?

Och, Andrew...

Może tkwiła gdzieś tam uwięziona pod gruzami! Wróciłem do domu, sąsiadka zgodziła się popilnować dziecka. Pognałem do śródmieścia. Oczywiście w pobliże wież nie można było się dostać. Jedna z nich się zapadła. Oszołomieni ludzie uciekali w popłochu. Oblepieni popiołem, jakby żywcem skremowani, choć zachowujący swoją postać. W pewnym momencie wydawało mi się, że dojrzałem ją w tłumie. Briony! Zatrzymałem ją i zobaczyłem obce oczy spoglądające na mnie spod szarej maski, jaśniejące i przerażone, jedyny żywy element martwej twarzy. Co ty robisz? – zapytała. Odczep się. Niepotrzebnie tam poszedłem – rozstawione słupki, rozciągnięte taśmy ostrzegawcze, policjanci, strażacy, karetki pogotowia, pulsujące światła, skrzekliwe komunikaty nadawane przez radio. Stałem na rogu, wypatrując jej pośród migających mi przed oczami twarzy. Wiedziałem już jednak, że to na nic. Łudziłem się jeszcze, że zastanę ją w domu, ale zobaczyłem tylko palącą się diodę automatycznej sekretarki.

Czy odruchowo pobiegła prosto w miejsce katastrofy, rzuciła w szalejące płomienie, reagując błyskawicznie, zgodnie ze swoją naturą? Tego nie wiem. Dopiero po pewnym czasie, który spędziłem, głównie blakając się po komisariatach policji, naszła mnie idiotyczna myśl, że ruszyła na ratunek Dirkowi, wbiegła schodami na dziewięćdziesiąte czwarte piętro, żeby go ocalić, w porywie szaleństwa, w przypiływie namiętności. Tylko skąd mogła wiedzieć, gdzie pracował? Umówili się na lunch w okolicy. A zresztą jakie to miało znaczenie? On transmitował swoją śmierć na żywo, ale to milczące zniknięcie Briony sprawiło, że ich tragedie połączyły się dla mnie w jedno. Jakby to, że umierali równocześnie, a przy tym nieświadomi śmierci tego drugiego, można było uznać za osobliwe zespolenie ich losów i dopatrzeć się w tym ich przemiany w ukrzyżowanych przez gwiazdy kochanków. Lecz to wymagałoby włączenia do tego układu również mnie.

Na twoim miejscu nie zadreślałbym się tym.

Nie znaleziono nigdy szczątków, które mogłyby należeć do Briony. [zastanawia się] Jak spokojnie udało mi się to powiedzieć.

Sąsiedzi domyślili się, bo znali rozkład jej zajęć. Przybyli tłumnie. Brali na ręce dziecko.

Ulice zapełniły się ogłoszeniami, rozlepianymi na ścianach, na ogrodzeniach, na skrzyżkach na listy, na budkach telefonicznych, na stacjach metra, ze zdjęciami zaginionych, wciąż tak bardzo żywych, no bo przecież nie mogli umrzeć! Imię i nazwisko, wiek, miejsce, gdzie widziano ich po raz ostatni. Nakreślone czarnymi pisakami numery telefonów. Czy ktoś

widział tę osobę? Proszę dzwonić pod ten numer. Proszę dzwonić! Ja też rozklejałem zdjęcia Briony. Imię i nazwisko, wiek, miejsce, gdzie widziano ją po raz ostatni. Chciałem pokazać wszystkim jej twarz. Wiedziałem, że to nic nie da, ale uznałem, że tak trzeba. To zdjęcie zrobiłem jej w parku, Briony uśmiecha się do mnie. Wydrukowałem sto odbitek i rozlepiłem, gdzie się dało. Dołączyła do zastępu widzianych po raz ostatni: imię i nazwisko, żal, ból, ktokolwiek wie... proszę dzwonić... Dołączyła do zastępu tych, po których nic więcej nie pozostało.

Wkrótce ściany remiz, szkolne ogrodzenia, słupy ogłoszeniowe zaczęły zamieniać się w ołtarzyki ze zdjęciami zaginionych albo rysunkami ich dzieci, w oprawie z gałązek iglaków, zniczy, wiązanek, miseczek z pływającymi płatkami kwiatów. Minął dzień czy dwa, a znalazłem kwiaty złożone pod naszymi drzwiami.

Staralem się znosić to, co dawało się znieść. Nie mogłem spać. Całymi nocami leżałem w łóżku, nasłuchując odgłosu klucza przekręcanego w zamku. Przez pierwsze tygodnie pomagały mi panie z sąsiedztwa. Później byłem zdany tylko na siebie. Willa spoglądała na mnie błękitnymi oczami, takimi samymi, jakie miała jej matka. Zdawało mi się, że mnie bezgłośnie osądza, choć dobrze wiedziałem, jakie to absurdalne. Znękany, oglądałem się za siebie, szukałem wzrokiem Briony. Kołysałem Willę w wózek. A potem, w listopadzie, odbył się maraton, zgodnie z wolą narodu, jako dowód na to, że duch w nim nie zginął. Ochłodziło się. Spadł śnieg. Ubrałem Willę, wsunąłem jej nóżki w rajstopki, ramionka w sweterek; jeszcze kombinezon, czapeczka, kocyk, i wreszcie, dokładnie opatulona, wylądowała w foteliku samochodowym. Przygotowanie niemowlęcia do wyjścia na dwór zimą to naprawdę trudne i męczące zadanie. A kiedy przypiąłem ją pasami i włączyłem silnik, zrozumiałem, czemu to wszystko miało służyć – zawiozłem ją do Marthy.

V

Cześć, doktorku, znalazłem się tu, na górskim zboczach opadającym w stronę fiordu, żeby jak najdalej od ciebie uciec. Mieszkam w odludnej chatce, lecz niestety nie ma w niej dzieł MT, które mógłbym poczytać dla zabicia czasu. Nie ma nawet Knuta Hamsuna. Całe wyposażenie chaty stanowią stół, krzesło, prycza, zlew, kuchenka turystyczna i ubikacja. Jest ciasna i surowa niczym więzienna cela, ale za to mogę stanąć w progu i podziwiać okalające lodowatą zatokę norweskie góry, ciemniejsze niż Wasatch, zielono-czarne, bardziej zwarte i powybrzuszone niż ich mieniący się w słońcu amerykańscy kuzyni, stateczniejsze. Kiedy pada, wychodzę na dwór i korzystam z prysznicza. W dole co jakiś czas przepływa statek wycieczkowy. Z tej wysokości wydaje się maleńki i całkiem bezgłośny; jego regularne pojawianie się zdaje się wyrażać dumę ludu uznającego te fiordy za swoje narodowe dziedzictwo. Krzyczę, a po chwili mój głos wraca do mnie, ściszony, a może słyszę go tylko w swojej wyobraźni. Krzyczę, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że nie jestem sam. Śpiewam też na okrągło, przypominam sobie słowa starych przebojów. Choć o tym nie wiedziałem, w moim mózgu zachowały się dziesiątki piosenek, tekstów powiązanych neuronalnie z muzyką. Wypowiadam słowa, a melodia sama się pojawia. Jednego nie da się oddzielić od drugiego. Nad zlewem wisi lustro w blaszanej oprawie, zerkam w nie czasem, i w ten sposób oprócz mnie pojawia się w chacie ktoś jeszcze. Wittgenstein robił to samo. Nikt tak jak on nie rozumiał pułapek, jakie zastawia na nas nasz myślący mózg. Patrzenie na siebie jest niebezpieczne. Zatracasz się w niekończącym się szeregu odbić, niczym w gabinecie luster. To kolejny dowód na przebiegłość mózgu, który udaremnia nam samopoznanie.

Piszę do ciebie, mimo że nie działa tu poczta, i wygląda na to, że przeczytasz to dopiero po moim powrocie, kiedy osobiście przekażę ci te zapiski i będę patrzył, jak je czytasz. O ile w ogóle wrócę. Rozumiem pytania, które mi zadałeś, kiedy ja przeżywałem cały koszmar na nowo, odtwarzałem zapisaną na automatycznej sekretarce pożegnalną wiadomość Dirka, która wyryła mi się w mózgu, miałem przed oczami pożegnalną wiadomość Briony, przekazaną

w postaci obrazu z niemego filmu: jej twarz, usta wypowiadające z przejściem słowa, których nie słyszę, zwężający się kadr, kurczący się do punkciku wielkości główki od szpilki, a potem już tylko czerni... a ty zdobyłeś się jedynie na to, żeby zapytać, czy zadzwoniłem do jej rodziców. Cały ty, jak zawsze praktyczny, poukładany, oczekujący od innych słusznego i logicznego postępowania. Wszystko zgodnie z regulaminem. Co z Billem i Betty? – zapytałeś. Czy nie należało od razu ich zawiadomić? Tak jakbym tego nie zrobił. Prawdę mówiąc, to oni sami złapali za słuchawkę niemal natychmiast po tym, jak to się stało, ich odległe głosiki brzmiały w słuchawce jak trąbka z tłumikiem. Jeszcze nie wróciła do domu, powiedziałem. Ale nie martwcie się, przekażę jej, żeby do was zadzwoniła, jak tylko... starając się zwalczyć drżenie głosu.

Gdybym mógł po prostu zwariować, z pewnością byłoby to lepsze niż jasność umysłu, jaka towarzyszy mi w tej kontemplacyjnej samotni. *Me and my shadow... Dancing in the dark*. Mam w chacie wielki nóż do krojenia chleba. Patrzę na niego od czasu do czasu, a on patrzy na mnie.

Oboje niedługo potem umarli. Bill na wylew, a Betty ze zgrzyzoty. Dwie maleńkie trumny i pojemnik z bliżej nieokreśloną zawartością zastępującą prochy Briony. Cała rodzina zawstydzona łatwością, z jaką uległa przeobrażeniu.

Mam ci oddać te zapiski?

Nie, zatrzymaj je. Są przeznaczone dla ciebie.

W każdym razie cieszę się, że wróciłeś. Nie wiedziałem, że gustujesz w muzyce rozrywkowej i lubisz śpiewać.

Cóż, w krainie fiordów staję się inną osobą.

VI

Andrew sprzedał meble, wypowiedział umowę najmu mieszkania i wyniósł się z Nowego Jorku. To miasto już na zawsze miało mu się kojarzyć z Briony. Widział ją, jak biegnie ulicami śródmieścia, odwraca głowę, spogląda na niego i znika za zakrętem. Poza tym nie mógł tam znaleźć pracy. Przeczytał w „Biuletynie Szkolnictwa Wyższego”, że George Mason University zatrudni kognitywistę na stanowisku profesora, ale słabo wypadł podczas rozmowy kwalifikacyjnej i wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Osiadł w pobliskim Waszyngtonie, w nadziei, że uda mu się przeprowadzić badania nad zbiorowym mózgiem administracji publicznej, opierając się na modelu kolonii mrówek. Lecz trafiło mu się jedynie zastępstwo za nauczyciela przyrody w państwowym liceum. Przyjął tę pracę. Nie minął miesiąc, kiedy drugi nauczyciel przyrody dostał zawału i w ten sposób Andrew, któremu płacono dotąd tylko za zastępstwo, został uszczęśliwiony dodatkowym etatem i pełną pensją. Wynajął kawalerkę i wcielił się w rolę mieszkańca stolicy. Fakt, że jako bądź co bądź wykładowca akademicki dobrowolnie skazał się na wygnanie do państwowej szkoły średniej, pogłębił jego przekonanie o własnym życiu jako przegranej sprawie.

Przegranej sprawie? Możemy o tym porozmawiać?

Budynek szkoły był w fatalnym stanie, mówię ci. Łuszcząca się farba, połamane meble, nieczynne ubikacje, tablice popękane jak gleba po trzęsieniu ziemi, na oknach rolety, które albo się nie podnosiły, albo nie opuszczały, stęchły zapach kurzu i pleśni. Andrew z miejsca zdobył sympatię uczniów, siadając przed całą klasą na krzesła, które jak się okazało, miało tylko trzy nogi. Wybuchnęli śmiechem, lecz od razu podbiegli do niego i pomogli mu się podnieść, przynieśli nowe krzesło. Domyślił się, że to nie był żaden złośliwy kawał z ich strony. Można wręcz powiedzieć, że ze względu na opłakany stan szkoły nauczycieli i uczniów łączyła więź niezłomnych duchem. Dzieciaki zasłaniały dziury w ścianach rysunkami, przypinając je pinezkami, malowały na murach scenki historyczne, a na koniec semestru wystawiały musical, kibicowały swojej drużynie koszykarskiej. Nauczyciele i uczniowie byli ze sobą po imieniu, jedli lunch w tej samej sali; pomieszczenie pierwotnie przeznaczone wyłącznie dla nauczycieli z czasem przerodziło się w gracjarnię – w sali jadalnej ciała pedagogicznego składowano zepsuty sprzęt: rzutniki, magnetofony, telewizory, szafy na dokumenty, stoły, krzesła, postawiony na

sztorc fortepian, w którym brakowało połowy klawiszy. Kiedyś na lekcji biologii uczniowie mieli kroić żabę, a Andrew wykorzystał tę okazję, żeby pokazać im eksperyment Galwaniego. Pobudzona elektrodą kończyła martwej żaby drgała, jakby wciąż była żywa, a klasa pod jego przywództwem odkryła kilka podstawowych prawd nauki o mózgu. Im bardziej improwizował, odchodząc od ustalonego planu lekcji, tym większy wzbudzał entuzjazm uczniów, wśród których nie brakowało nierozłącznych par zakochanych. Kiedyś z chłopaków wskoczył na podest w pracowni i przyłożył do ust dłoń zwiniętą w pięść, udając, że śpiewa do mikrofonu:

„Tu jest mięsień grzbietowy, a tutaj piersiowy, tu mamy lędźwiowy, a ja jestem odłotowy...”.

Ale to nie do szkoły szedłeś z kawą i gazetą tamtego ranka, kiedy usłyszałeś głos mówiący ci, żebyś naprawił siatkę w drzwiach?

Nie, do tego czasu zdążyłem dorobić się gabinetu w przystosowanym do tego celu schowku dla sprzętaczek w piwnicy w Białym Domu.

Schówek dla sprzętaczek w piwnicy w Białym Domu.

Zgadza się. Z bólem serca rozstawałem się z tymi dziećmi. Nastrajały mnie optymistycznie. Podtrzymywały na duchu. Uwielbiały się przyglądać białym myszkom w labiryncie, który dla nich zbudowałem. Patrzyły, jak mysi mózg uczy się na błędach, poznaje świat. No i był jeszcze „dylemat więźnia”. Obowiązkowy punkt programu kognitywistyki w pierwszym semestrze. To ich naprawdę kręciło. Dwaj złodzieje zostają zatrzymani, lecz brakuje dowodów wystarczających do tego, żeby ich skazać. Sprytny śledczy rozmawia z każdym z nich na osobności i mówi, że ten drugi go zdradził i przyznał się do wszystkiego. I jeden, i drugi mają wybór: pójść w ślady współnika i też zdradzić, albo trzymać język za zębami. Jeśli obaj się przyznają, zostaną skazani, powiedzmy, na dziesięć lat więzienia. Jeśli tylko jeden się przyzna, dostanie pięć lat odsiadki, a ten drugi, który nie puści pary z ust, trafi za kratki na dwadzieścia lat. Jeżeli żaden z nich się nie przyzna, obaj zostaną wypuszczeni na wolność. Jaka jest najkorzystniejsza strategia? Każdy ze złodziei musi się zastanowić, czy ten drugi go zdradził, czy nie i jak powinien postąpić w jednym i drugim przypadku. Odgrywaliśmy to dobrych kilka razy, ochotnicy występujący w roli złodziei na zmianę opuszczali salę. Klasa wygwizdywała tych, którzy postanowili zdradzić, wyśmiewała się z nich. Biła brawo, kiedy obaj ochotnicy szli w zaparte.

Wygląda na to, że zadamowileś się w tej szkole.

Rzeczywiście, czułem autentyczną więź z tym miejscem, uczenie dzieciaków sprawiało mi frajdę, udzielał mi się entuzjazm młodości. Samego mnie to zaskoczyło. W pracy od ósmej do trzeciej byłem jak nowo narodzony. Uwalniałem się od przeszłości, od pamięci.

Ale postanowileś odejść.

Nie minął jeszcze miesiąc, od kiedy zacząłem tam pracować, gdy któregoś dnia, w połowie lekcji, bez zapowiedzi wparowała do mojej klasy gromada ludzi z dyrektorem szkoły na czele. Kilku ubranych w ciemne garnitury facetów z miniaturowymi słuchawkami w uszach, fotoreporterzy z aparatami, jakieś paniusie wyglądające na dziennikarki z pism kobiecych. Nikt spośród nich nawet się nie odezwał. Po chwili drzwi znowu się otworzyły i do środka wślizgnął się mężczyzna, który stanął tuż przy wejściu, a zaraz potem z szerokim uśmiechem do sali wkroczył prezydent USA we własnej osobie. To on przerwał mi zajęcia z czytania w myślach.

O rany. To było jakieś święto państwowe?

Żadne święto. Zwykła ustawka zdjęciowa, standardowa wizyta w ramach ocieplania wizerunku. Napisał swoje imię i nazwisko na splekanej tablicy. Mówił uczniom, że jest dumny z ich postawy, z tego, że mimo wszystko chodzą do szkoły, nie zrażają się trudnościami środowiskowymi i jak najlepiej starają się wykorzystywać swoje możliwości. Rozwodził się nad tym, że te trudności ich wzmacniają, hartują niczym stal, że to po prostu super, jednym słowem, wynikało z tego, że bieda im służy. Dzieciaki były oszołomione, nawet się nie roześmiały, kiedy złamał krede. Kilkoro z nich poprosił, żeby ustawiły się z nim do zdjęcia. Jeszcze nigdy w tej sali nie panowała taka przejmująca cisza. Stałem pod oknem, odsunięty bezceremonialnie na dalszy plan. Miałem za plecami słońce i liczyłem na to, że dzięki temu mnie nie rozpozna.

A dlaczego miałby cię rozpoznać?

Głędził po swoim, nieświadomy ironii zawartej w stwierdzeniu, że ci młodzi ludzie i on są sąsiadami. Po pięciu minutach było już po wszystkim, sala opustoszała tak błyskawicznie, jak się zappełniła. Kiedy odwracał się do wyjścia, słońce schowało się za chmurą i nagle stałem się widoczny. Zobaczył mnie. Zastygł w pół kroku. Zaskoczenie malujące się na jego twarzy i uniesione brwi świadczyły o intensywnej pracy mózgu. A dokładnie zakrętu wrzecionowatego.

Czego?

Części płata skroniowego odpowiedzialnej za rozpoznawanie twarzy.

Chcesz powiedzieć, że prezydent cię rozpoznał?

A dlaczego miałby mnie nie poznać? Kiedyś, w Yale, mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Jesteście kumplami ze studiów?

Tak, doktorku, Yale to uniwersytet, studiowaliśmy tam razem. Tak się złożyło, że raz czy dwa nawet za niego oberwałem. Tydzień po tym, jak wizyta prezydenta w naszej szkole trafiła do gazet, otrzymałem wiadomość z sekretariatu, że po skończonych lekcjach będzie czekał na mnie przy bramie samochód. Nawet się nie zdziwiłem. Zawieziono mnie do Białego Domu, przy wejściu żołnierz piechoty morskiej oddał mi honory, a sekretarka, która wyszła mi na powitanie, poprowadziła mnie, obok portretów nieżyjących prezydentów, na spotkanie z zastępcą szefa personelu.

Prezydent się nie pokazał?

Mało tego. Okazało się, że chcą mnie mianować dyrektorem Biura Badań Neurologicznych przy Białym Domu. Moje zadanie miało polegać na śledzeniu światowych postępów w neurologii i skompletowaniu zespołu kognitywistów, który sformułuje politykę rządu w kwestii badań nad mózgiem. Stanowisko wiązało się ze skromnym uposażeniem pracownika obsługi technicznej.

O rany. To wszystko stało się bardzo szybko...

Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim biurze i nic w tym dziwnego: właśnie je utworzono i to ja miałem nim pokierować. Zrozum, nie cieszyłem się szczególną renomą w środowisku kognitywistów, więc z początku przyszło mi na myśl, że mój dawny współlokator robi mi kawał, tak jak to miał w zwyczaju. *[zastanawia się]* Swoją drogą rząd powinien zaangażować się w badania neurologiczne, i to dawno temu.

Tak uważasz?

Nie zgrywaj się, doktorku. Ta twoja mina...

Jaka mina? To są dla mnie całkiem nowe rzeczy...

...jakbyś udawał, że nie rozumiesz, a przecież rozumiesz doskonale. Nie sądzisz, że rząd powinien umieć przewidywać, jak ludzie zareagują na określone bodźce, szczególnie cudzoziemcy? Jak ważne mogłyby się okazać badania rezonansem magnetycznym stanu umysłu po zażyciu środków halucynogennych? Albo sposoby wykorzystywania podatności mózgu? W naszych umysłach zachodzą setki zjawisk, których znajomość bardzo przydałaby się rządowi.

Masz na myśli pranie mózgu?

Pranie mózgu to przeżytek. Nie wiem właściwie, po co ja z tobą rozmawiam. W każdym razie propozycja okazała się poważna, to nie był żart. Chcieli mieć mnie na oku. Potem dowiedziałem się, że pomysł wyszedł od Brzoskwinki.

Brzoskwinki?

Tak prezydent nazywał szefa swojej kampanii wyborczej. Mówiło się o nim „mózg prezydenta”. Zastanawiałem się, ile mu go jeszcze pozostało, skoro tak chętnie się nim dzielił.

Brzoskwinka.

Czasem był Śliweczką. Ważne, żeby owoc miał gładką skórkę.

Rozumiem.

Wkrótce przekonałem się, że nikogo, a już w szczególności prezydenta, nie obchodziło to, czy wykonuję zadania, do których zostałem powołany. Chodziło o przyszłe wybory. Jakiś dziennikarz mógł mnie odszukać, a ja rozgadałbym się na temat naszych wspólnych studenckich wybryków, których było całkiem sporo. Na przykład, wypadek z palnikiem bunsenowskim. Nigdy nie chwaliłem się tym, że na studiach dzieliłem pokój z prezydentem, lecz kto zaręczy, że nie zacznę o tym opowiadać na prawo i lewo? Oto wychynałem z jego mglistej przeszłości, i sztab wyborczy miał powód do zmartwienia. Musiałem podpisać zobowiązanie, że dochowam tajemnicy: w razie ujawnienia poufnych informacji jako pracownikowi administracji groziła mi stosowna kara. Wpatrywałem się w ten dokument, wahając się, czy go podpisać. Czuję się tak, jakby ktoś knebłował mi usta.

Ale się zgodziłeś.

Jak mogłem odmówić prezydentowi? [zastanawia się] Prawda była inna. Wyglądało to tak, jakby zataczające łuk drogi naszego życia – jego pnąca się w górę, moja pogrążająca się w ponurych głębiach południowej półkuli – zatoczyły pełne koło i nagle zbiegły się w tym samym miejscu w tym samym czasie. To było nieuchronne.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś.

A niby po co?

Przecież mało kto może pochwalić się tym, że na studiach dzielił pokój z przyszłym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Anegdotami na ten temat można by zabawiać towarzystwo na przyjęciach, i to do końca życia.

Sugerujesz, że sobie to wszystko wymyśliłem?

Ależ skąd. Intryguje mnie tylko, dlaczego tak długo trzymałeś to przede mną w tajemnicy.

Ja nie żyję życiem innych ludzi, doktorku. Podejrzewam, że nie wspomniałem o tym wcześniej, bo poruszałem sprawy dużo dla mnie ważniejsze.

Niech ci będzie.

Poza tym, czy można się nim chwalić? Nie głosowałem na niego i nie szukałbym z nim kontaktu z własnej woli. Jego osoba w ogóle nie wyszłaby na jaw podczas naszych sesji, chyba że w związku z następstwami... z następstwami... [zastanawia się] Powoływanie się na znajomości z ważnymi figurami to przecież samochwalstwo, nie uważasz? Tym bardziej że fakt dzielenia z nim pokoju w Yale nie jest dla mnie żadnym powodem do chwały. Może gdybym wspomniał o tym na początku, nie odniósłbyś wrażenia, że unikam tego tematu jak ognia.

Nie, skądże znowu. Wierzę ci. Przecież trafiłeś tu do mnie nie bez powodu.

Mam wyrobione zdanie, jeśli chodzi o politykę, doktorku. Wiele ci o sobie opowiedziałem, ale pominąłem to, że losy tego kraju naprawdę leżą mi na sercu. Mój współlokator został wybrany na prezydenta w sposób, który w naszej ordynacji wyborczej zakrawa na precedens. Potem było tylko gorzej – wojna toczona dla jego kaprysu, jawny antysemityzm. Znałem go na wylot, wiedziałem, jakiego pokroju ludźmi się otacza. [zastanawia się] Później przeprowadzono wiele analiz. Wystarczy poczytać gazety. Atakom na World Trade Center można było zapobiec. Dane wywiadowcze wyraźnie wskazywały na taką możliwość.

To znaczy, że go za to obwiniasz?

Jakże ja, mały żuczek, mógłbym kogoś za cokolwiek obwiniać? Ale on bimbał sobie, migał się... Sytuacja go przerosła. Jestem przekonany, że zaraził swoją nieudolnością cały federalny aparat wykonawczy, a to okazało się fatalne w skutkach. W myśl założenia, że jaki prezydent, takie państwo. Warto byłoby zbadać tę kwestię, nie sądzisz? Od długiego czasu pragnąłem wnieść twórczy wkład w rozwój nauki. Mogłem zacząć od przyjęcia hipotezy, że istnieje coś takiego jak rządowy mózg – uznałem wtedy, że otwiera się przede mną szansa.

Całkiem słusznie.

Nie, nie rozumiesz mnie. Nosilem w portfelu zdjęcie Briony i naszego dziecka. Siedzą na ławce w parku, świeci słońce, Willa usadowiona w ramionach Briony niczym na tronie, patrzą na mnie, matka i córka, dwie blondynki, śmieją się, wyrastają ze zdjęcia i wypełniają przestrzeń przed moimi oczami...

No i?

No i podpisałem zobowiązanie do dochowania tajemnicy służbowej, i objąłem stanowisko dyrektora Biura Badań Neurologicznych z siedzibą w piwnicy Białego Domu. Zamierzałem działać, nadać bieg historii. Zrobić coś, o czym będzie głośno w świecie, nawet jeśli miałem zapłacić za to najwyższą cenę.

O czym ty mówisz, Andrew?

To właśnie postanowiłem sobie tamtego ranka, kiedy stałem na skrzyżowaniu z kubkiem kawy i gazetą w rękę, czekając na zmianę świateł.

VII

Halo? Dzwonię do ciebie ze staroświeckiego aparatu zamontowanego na ścianie, takiego na korbkę. Słyszysz mnie, doktorku?

Tak, Andrew, słyszę cię doskonale.

Pomimo rozmaitych przeciwności życie jakoś im się układa. To niesamowite. Tutejsza centrala telefoniczna liczy sobie pewnie tyle lat co ten dom. Pełno tu przeróżnych rupieci. I jeszcze ta półciężarówka na podwórku, z ręczną skrzynią biegów, lysymi oponami i wyblakłym lakierem – prawdziwy antyk. Do miasta muszą chodzić pieszo. Ja też zasuwam na piechotę. A samo miasteczko? Parę lichych, tonących w półmroku wiekowych sklepików, które dziwnym trafem mają wszystko, czego ci potrzeba. Facet, który prowadzi sklep z narzędziami, zajmuje się też dekarstwem, wynająłem go, żeby załatał dach, bo bez przerwy potykałem się o gonty walające się po podwórku. Dach przecieka, a staruszka podstawia wiadro, i na tym koniec.

A drzwi wejściowe z siatką?

Och, naprawiłem je. Siatka się trzymała, ale górny zawias był wyrwany z futryny. Zdjąłem całe drzwi, założyłem nową siatkę i wymieniłem zawiasy. Futryna oczywiście jest miękka, porowata – to sprawa termitów, sięją tu prawdziwe spustoszenie. Ale spokojnie, wszystko w swoim czasie. Widzę zadania, które mnie czekają. Zacinające się okna, skrzypiące deski w podłodze. Nie masz pojęcia, jakie przyjemne może być skupienie się na takich konkretnych sprawach, ile zadowolenia można czerpać z pracy rąk, z planowania na małą skalę.

Więc zamierzasz zatrzymać się tam na dłużej? Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz.

Ta farma ma w sobie coś. Czasami zdarza się, że jakieś miejsce zapada ci w pamięć bez szczególnego powodu. Doświadczyłeś czegoś takiego? Cóż, nie jest to zamek w Alpach ani hacjenda w cieniu palm. Udostępniły mi pokoik za kuchnią z materacem na podłodze, a poza tym nie zwracają na mnie uwagi. Zupełnie nie ciekawi ich, kim jestem, skąd się wzięłem. Domyślam się, że nie patrzą na mnie nawet wtedy, kiedy odwracam się do nich plecami. Więc całkiem słusznie czuję się tu bezpiecznie. Nie mam powodów do obaw, przecież nie mogę sprowadzić nieszczęścia na osoby, z którymi nie łączy mnie żadna więź.

A podziękowały ci chociaż raz?

Słuchaj, zadzwoń, żeby się cię poradzić. Ona rysuje. Wspominałem ci chyba o tym.

Co takiego?

Ta dziewczynka. Wsiada na szosie ze szkolnego autobusu, przybiega do domu, rzuca tornister z książkami na krzesło w kuchni i siada przy stole, na którym rozkłada kolorowe kredki, ołówkowe, świecowe, otwiera blok i zaczyna rysować. Nic więcej jej nie interesuje. Staruszka stawia przed nią szklankę mleka, ale ona jest tak pochłonięta rysowaniem, że nawet jej nie zauważa. Słyszysz, co mówię?

Słyszę cię tak, jakbyś stał tuż obok mnie.

Kiedy wyczuwa, że się jej przyglądam przez siatkę w drzwiach wejściowych, zamazuje gryzmołami rysunki, w które włożyła tyle pracy – zaciska kredkę w dłoni i niszczy swoje dzieło.

Może nie powinieneś jej obserwować. Dzieciaki są przeczulone na punkcie rzeczy, które są dla nich ważne. Powiedziałaś jej coś?

Nie zamieniłem z nią nawet słowa. Na farmie niewiele się mówi. Staruszka i dziewczynka porozumiewają się między sobą jak para mimów. Jakby bez pytania wiedziały, co druga ma na myśli i co trzeba w danej chwili zrobić – kiedy wyjść do szkoły, kiedy kłaść się spać. Upodobałem się do nich pod tym względem. Wiem, kiedy przyjść na poranną kawę, wiem, kiedy zajmować się moimi zadaniami, wiem, kiedy podawany jest obiad, wiem, kiedy skinąć głową na dobranoc. Jakbyśmy w tym domu odgrywali niemy film.

Mówiłeś, że jest ci tam dobrze.

Sytuacja się zmieniła. Wczoraj w nocy wszedłem do kuchni, one poszły już spać do swoich pokoi na górze. Zawsze zostawiają włączone światło. Spojrzałem na rysunek, który tego dnia narysowała. Rysunek małej dziewczynki. *[zastanawia się]*

Andrew? Jesteś tam?

Nie podejrzewałbyś dzieciaka w jej wieku, że umie tak rysować. Jest naprawdę świetna. Obrazek przedstawiał cyrk. Akrobaci, artyści na trapezie, piramidy z ludzi. Woltyżerki w spódniczkach stojące na galopujących dookoła areny koniach. Małeńkie postaci, doskonale uchwycone.

Andrew?

Idą. Muszę kończyć.

VIII

No dobrze. Skoro interesuje cię moje studenckie życie... Nie sądziłem, że właśnie on trafi mi się jako współlokator. To nazwisko, i w ogóle. A ja... bez stypendium nie mógłbym marzyć o studiach w Yale. Ale zgodnie z przyjętą na uczelni polityką nikogo nie traktowano w sposób uprzywilejowany – każdy świeżo przyjęty student był po prostu studentem, jak pozostali. Bawiła go moja niezdarność. Często wpadaliśmy w tarapaty, dwóch nieprzystosowanych odmieńców. *[zastanawia się]* To było nam pisane.

Wspomniałeś o wypadku z palnikiem bunsenowskim. Co się wtedy wydarzyło?

Nasz pokój stał się ośrodkiem życia towarzyskiego. Studenci kręcili się głównie wokół niego, rzecz jasna, ale ja też byłem na kampusie rozpoznawany. Grałem drugie skrzypce. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że nie mam własnej tożsamości, że bez niego jestem anonimowy. Byłem sobą tylko dlatego, że on był sobą. Radziłem sobie jakoś z nauką na studiach, co doprowadzało go do wściekłości. Siedziałem przy biurku i zakuwałem do egzaminu, a on, nie mogąc tego znieść, wyciągał mnie do knajpy. Nie mam mu tego za złe, dzięki niemu nabrałem śmiałości w kontaktach z dziewczynami. Już na drugim roku studiów zaangażowałem się w poważny związek. Ale przy nim trzeba było błaznować, trzeba było go zabawiać. Nie tylko ja to czułem, inni też, jakiś wewnętrzny przymus, żeby spełniać jego oczekiwania. Co jakiś czas, po kilku piwach, dawała o sobie znać wredna strona jego osobowości, bo miał w sobie dużo jadu. *[zastanawia się]* Jego wygłupy przeradzały się czasami w dręczenie albo upokarzanie innych. Oceny miał beznadziejne, podręcznika nawet nie otworzył. Mógłby osiągać lepsze wyniki na studiach, gdyby tylko się przyłożył. Ale był przekorny. Robił na złość.

Opowiesz mi wreszcie o tym wypadku z palnikiem bunsenowskim?

Mieliśmy ćwiczenia w laboratorium chemii nieorganicznej. Stałem tuż obok niego, odłamek zlewki utkwiał mi w policzku, krew spływała mi po szyi. Coś wybuchło, nie wiem co. Pomieszczenie nagle wypełniły kłęby dymu, wszyscy zaczęli kaszleć, krzyczeć, włączył się zraszacz przeciwpożarowy, w laboratorium rozpętało się istne piekło. To było nawet na swój sposób zabawne. Do środka wpadł profesor i zaczął rozpędzać obłoki dymu. Uznał, że to ja narozrabiałem. Nie zaprzeczyłem.

Cóż, nie sądzę, żeby coś takiego mogło po trzydziestu latach zaszkodzić jego kampanii

wyborczej.

To jeszcze nie wszystko. Dzieliłem się z nim swoją wiedzą.

I co z tego?

Na „placu boju”, że się tak wyrażę. W czasie egzaminów pisemnych.

Rozumiem.

No tak. Ale po co miałbym ujawniać po latach coś, co mnie samego postawiłoby w złym świetle? Muszę przecież dbać o moją akademicką karierę. Jakkolwiek mało błyskotliwą.

Racja.

Po wypadku w laboratorium dostałem warunkową zgodę na pozostanie na uczelni na następny semestr. I zaproszenie do domu jego rodziców, gdzie mieliśmy wspólnie spędzić przerwę świąteczną.

Chłodne spojrzenie władczej matki, uścisk wiotkiej dłoni nieobecnego myślimi ojca. Oto, co mnie uderzyło. Ich syn najwyraźniej uznał szorstkie, bezceremonialne przywitanie za rzecz normalną. Stałem jak gapa z tym swoim plecakiem, a personel wokół wydawał się postawiony w stan najwyższej gotowości. Wszyscy byli zaafetowani wydawaną tego wieczoru kolacją, na którą zaproszono ważne osobistości. Mój współlokator i ja zaszyliśmy się na górze, w ogromnym, zajmującym całe piętro pokoju, w którym nie było ani jednej książki. Paliliśmy marychę.

Andrew spojrział przez nieotwierające się okno w ramie z brązu. Po drugiej stronie szerokiej, pustej ulicy zobaczył jedynie dom do złudzenia przypominający ten, w którym sam się znajdował, spoglądając, jak mu się zdawało, na swoje własne niewyraźne odbicie. Okoliczne budynki mieszkalne zaprojektowano tak, żeby przypominały biurowce – taki architektoniczny hold na cześć dominującej kultury. Nigdy nie widział podobnego miasta, rozciągniętego na płaskiej równinie. Smażyło się w upale, od którego drgało popołudniowe powietrze. Rozległe parkingi wypełnione po brzegi błyszczącymi w pełnym słońcu samochodami, śródmieście z nijakimi drapaczami chmur o przyciemnianych oknach. Andrew uważał, że każde miasto z prawdziwego zdarzenia powinno mieć wąskie, zatłoczone uliczki, przy których ciągną się szeregi sklepów, jezdnie pełne trąbiących samochodów, chodniki z tłumami przechodniów, i do wczesnych godzin rannych powinno tętnić życiem. A tutaj po zachodzie słońca wszystko zamierało, światła na skrzyżowaniach kierowały wyimaginowanym ruchem ulicznym. Tego wieczoru dwaj chłopcy z college'u brali udział w uroczystej kolacji. Posadzono ich w odległym końcu ogromnego stołu, nad którym zwieszały się trzy lśniące zyrandole. Nawet taki laik jak ja mógł zauważyć, że zastawa stołowa była z najwspanialszej chińskiej porcelany, sztuce z czystego srebra, a kryształowe kieliszki na cienkich nóżkach więziły światło w postaci małych złocistych słoneczek. A to wcale nie była główna rezydencja gospodarzy. Siedzieliśmy na miejscach dla pospółstwa, razem z członkami personelu i sługusami zatrudnionymi w rodzinnych przedsiębiorstwach. Żaden z nas nie kwapił się do rozmowy, znosiliśmy naszą niedolę w ponurym milczeniu, podczas gdy w drugim końcu stołu wygłaszano przemowy i wznoszono toasty. W sumie było to barwne przyjęcie, szejkowie i książątka w arafatkach i szykownych szatach do ziemi, mężczyźni bez kobiet, wąsaci, brodaci, dostojni, imponujący, w strojach, które

w gruncie rzeczy jak najbardziej pasowały do tej pustyni. Kiedy przyjęcie dobiegło końca, wszyscy wstali i hurmem ruszyli do wyjścia z jadalni. I wtedy właśnie Andrew przypadkowo nadepnął na tren – jeśli można to tak nazwać – szaty jednego z książąt, a ta rozdarła się, odsłaniając owłosioną nogę w sportowym bucie. Oto, co zapamiętujemy. W następnej chwili mój szkolny kumpel pociągnął mnie do bocznych drzwi. Pędziliśmy po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, w końcu dotarliśmy do naszego pokoju, tam padliśmy na łóżka, rżąc ze śmiechu.

Następnego ranka, za pośrednictwem członka personelu, przekazano mi wiadomość, że mam się wynosić. Przyszły dziedzic fortuny zwolnił szofera i ze zboląłą miną osobiście odwiózł mnie na samolot. Lotnisko nosiło imię jego ojca, na ścianach wisiały olbrzymie fotografie prezydenckiej pary. Do zobaczenia wkrótce, powiedział na pożegnanie. Był w smętnym nastroju, co zupełnie do niego nie pasowało. Andrew pojął wtedy, że na chwilę został wciągnięty w wir rodzinnej rozgrywki, jako przypadkowy uczestnik walki, którą jego kompan toczył od dawien dawna.

IX

Czy to wystarczy, żeby rozwiązać twoje wątpliwości?

Dlaczego miałbym wątpić w twoją prawdomówność?

Zaskoczyło mnie to, że mam przed sobą faceta w średnim wieku. Co innego, gdy widzisz się z kimś codziennie, wtedy zmiany są niedostrzegalne. Zapamiętany obraz rozplywa się już po chwili.

Nie oglądałeś jego występów, wywiadów telewizyjnych, zdjęć w gazetach?

To nie to samo co zobaczyć człowieka z bliska, na żywo. Później, przesiadując z nim w Gabinetie Ovalnym, rozpoznałem znajome drgnięcie kąćków ust zapowiadające puentę głupiego dowcipu. To się nie zmieniło. Pozostała w nim też ta hardość. Ale oczy... oczy zdradzały lęk. Jakby właśnie dotarło do niego, jakie stanowisko przyszło mu piastować. Włosy barwy matowej stali, lekko przerzedzone na potylicy.

A jeśli chodzi o tych dwóch, Cienkiego i Rumsztyka, nie dorównywali mu, to znaczy, byli niższego wzrostu. Jeden czerwony na gębie, wiecznie nadąsany, drugi w garniturze jak spod igły i prosto od fryzjera, puszył się jak paw. Obaj na żywo wydawali się mniejsi niż na zdjęciach. To było nawet dość zajmujące.

Co masz na myśli?

Prowadził pewną grę, dość subtelną nawet, lubił wymyślać przezwiska. W ten sposób wyrażał swoją sympatię lub uznanie, a może po prostu wypalał znak, jak ranczer na swoich krowach, dając do zrozumienia, że obdarzona ksywką osoba jest jego własnością, że zna ją na wylot. Jak w przypadku Brzoskwinki. Przechrzcił też dwie najważniejsze figury w swojej administracji, facetów, którzy wszystkim zarządzali... Cienki i Rumsztyk.

A co z tobą?

Mnie też naznaczył, z triumfującym uśmiechem na ustach. Zostałem Androidem.

Ach tak.

Niesamowite. Jakby jakaś synapsa w neuronach otaczających siecią jego mózg zaskoczyła szybciej niż miliardy pozostałych. Bo faktycznie byłem Androidem. Wystarczy we mnie puknąć, żeby usłyszeć brzęk żelastwa.

No proszę.

Nigdy nie pytał Androida o jego sprawy osobiste, jak mu się ułożyło w życiu, czy jest żonaty, ma rodzinę. Choćby z czystej ciekawości. Jakbyśmy nadal byli razem na studiach.

Musieli wcześniej dokładnie sprawdzić twoją przeszłość.

Podejrzewam, że nawet nie chciało mu się przeczytać sprawozdania.

Tak czy owak, wylądowałeś w Białym Domu.

Tak, ku powszechnemu zdziwieniu. Przede wszystkim musiałem nadrabiać miną. Kiedy pierwszego dnia, z samego rana, stawilem się rzeński do pracy, wezwał mnie do Gabinetu Ovalnego.

Siadaj, Android, o, tam, i nie odzywaj się. Nie rozglądaj się, nie interesuj się. Masz, poczytaj sobie piśmko. Udawaj, że jesteś w poczekalni u dentysty. Więc siedziałem sobie z boku, a on wykonywał swoje poranne obowiązki, rozmawiał z personelem, zwoływał narady; moja obecność pozostawała dla innych zagadką. A on udawał, że mnie tam w ogóle nie ma, jakby moja osoba była po prostu przywidzeniem. Może brali mnie za tajniaka, chociaż raczej nie wyglądałem na agenta. W każdym razie, dopóki on mnie nie zauważał, nikt nie mógł na mój temat nic powiedzieć. Musiał nieźle się bawić, zachowując przez cały czas kamienną twarz.

A ciebie to nie bawiło?

Postaw się w mojej sytuacji. Ciekawe, jak byś się czuł. Żart opierał się na mojej całkowitej anonimowości. Jakbym był jego cieniem. Jakbym wciąż był tym drugim ze studenckiego pokoju. Mniej więcej dwa dni później, jak wszystko, co dzieje się w Białym Domu, sprawa trafiła do mediów. W gabinecie prezydenta kręci się obcy człowiek, donosił „Spectator”, czterostronicowy tygodnik dostępny tylko w prenumeracie: TAJEMNICZA POSTAĆ W BIAŁYM DOMU! To teraz jest nas dwóch, skwitował prezydent.

Cienki wyskrobał oficjalne oświadczenie w tej sprawie wydane przez rzecznika Białego Domu. Oczywiście nie dopuszczano do mnie żadnego dziennikarza. Poinformowano opinię publiczną, że jestem bliskim kolegą ze studiów bawiącym u prezydenta z kilkudniową wizytą. Tkwiło w tym ziarno prawdy, ale blogerzy tego nie łknęli. Krążyły plotki, że łączą mnie z prezydentem podobne stosunki jak Clyde’a Tolsona z Edgarem Hooverem. Albo że prezydent jest ciężko chory i wymaga stałej obecności lekarza. A to było nie do przyjęcia. Szef personelu nalegał, żeby usunięto mnie z Białego Domu. Szkodziłem wizerunkowi prezydenta jako przywódcy wolnego świata. Chodziło też o bezpieczeństwo narodowe. Chociaż przesiadując w Gabinetie Ovalnym, nie usłyszałem nic ciekawego – miałem wrażenie, że wszyscy wypowiadają się tak jak w gazetach, kropka w kropkę. W końcu odesłano mnie do siedziby mojego biura w piwnicznym schowku. A gdy prezydent chciał się wyluzować, wymykał się do mnie po kryjomu.

A co z Biurem Badań Neurologicznych w Białym Domu? Dlaczego się o nim nie mówiło?

Żeby się okazało, że doradca naukowy prezydenta nic o nim nie wie? O CIA i NSA nie wspominając? Dopiero posypałyby się noty. Rezygnacje. Może wtedy udałoby mi się wywiązać z zadania, jakie mi przydzielono. Nie, nie można było dopuścić, żeby prawda wyszła na jaw. Pamiętaj, że zobowiązałem się do dochowania tajemnicy.

Pomyśl Brzoskwinki.

Tak. Jego też moja osoba kłuła w oczy. Raz słyszałem, jak wrzeszczał podczas rozmowy z prezydentem. Kiedy wszedłem do gabinetu, on gwałtownie go opuścił, o mało nie taranując mnie w drzwiach. Ale mój dawny koleżka lubił wypić sobie ze mną kawkę, posiedzieć, pogadać o wszystkim, tylko nie o swoim urzędowaniu. Wojna nie szła po jego myśli. Najechał nie ten kraj co trzeba. Nie sposób wyobrazić sobie, jak coś takiego musi człowieka gnębić.

Zdumiewające.

Co jest zdumiewające? Uważasz, że zmyślam?

Nie, tylko że...

Zdumiewające było to, że już po dwóch dniach w mediach na mój temat zupełnie ucichło. A ty gdzie wtedy byłeś? Musiałeś coś słyszeć. Poza tym masz przecież dostęp do akt, to wszystko jest w aktach.

W jakich aktach?

Daj spokój, doktorku. Obrażasz moją inteligencję. Wiesz, co w języku kognitywistów oznacza czytanie w myślach? To nie ma nic wspólnego z występem podrzędnego magika podpuszczającego widownię.

Nie?

Nie. Czytanie w myślach to proces zachodzący w prawym styku skroniowociemieniowym. Dzięki niemu w kontaktach z innymi ludźmi dedukcyjnie, intuicyjnie wiemy, co myślą, w jakim są nastroju, czy są szczęśliwi, znudzeni, i tak dalej. Czytanie w myślach to sposób oceniania ludzkiej wrażliwości, na przykład rozpoznawanie, kiedy ktoś udaje, że czegoś nie wie.

Przykro mi, że tak to odbierasz.

„Washington Post” i „Times” odkryły całkiem sporo na temat mojej przeszłości – dwa małżeństwa, jeden rozwód, jeden zgon, jedno dziecko zmarłe w okresie niemowlęcym, drugie oddane na wychowanie. Byłem pełen podziwu dla dziennikarzy śledczych. Czytało się to jak nekrolog – suche fakty bez cienia emocji. Dotarli też do mojej średniej ze studiów – 3,25. Poczulem się jak oczyszczony z zarzutów. Wyciągnęli nawet starą fotografię z gazetki uczelnianej i zamieścili na pierwszej stronie „Washington Post” – dwaj kolesie objęci ramionami, szczerzący zęby w uśmiechu. Po raz pierwszy dostrzegłem między nami podobieństwo, tyle że ja miałem kręcone włosy. Można było nas wziąć za braci, przynajmniej wtedy. Ze mną czas obszedł się dużo mniej łaskawie. Na pewno wiesz coś o tym. Inaczej bym tu nie trafił.

Dzień dobry, witam na wykładzie. Witam ciebie, czerwonego na gębie i wiecznie nadąsanego, i ciebie, w wykrochmalonej koszuli, z wystudiowaną fryzurą. Dzisiaj porozmawiamy sobie o świadomości. Skąd się bierze? Jak sama siebie traktuje? Czy coś knuje? Czy szuka korzyści? Jak uczy się swoich zachowań, gdy miliardy neuronów w obwodach nerwowych korygują się, dostosowują, przegrupowują i mnożą w reakcji na doświadczenie będące udziałem żyjącej istoty? Przez dobór naturalny, neuralny darwinizm, jak twierdzi Edelman? Czy ty, przystojniaku od wywoływania wojen, jesteś zwieńczeniem procesu ewolucji

mózgowej? A może to Crick ma rację, uznając dominującą rolę określonych obszarów mózgowia – przedmurza albo wzgórze? Nie bójmy się przedmurza! Wiwat mózgowie wzgórze! W końcu i tak nie masz duszy. Podobnie zresztą jak Edelman czy Crick. Ten nadąsany obok ciebie też nie ma, choć gotów byłby zabić, żeby udowodnić, że jest inaczej. Na tym właśnie polega chytryść mózgu. Musimy mieć się na baczności przed naszymi mózgami. Podejmują decyzje wcześniej niż my. Wiodą nas ku spokojnym wodom. Przekreślają wolną wolę. Co jeszcze dziwniejsze, gdy się przekroi mózg dokładnie przez środek, obie półkule, lewa i prawa, będą działały niezależnie od siebie, nie wiedząc, co czyni druga połowa. Lecz nie myśl za dużo o tych sprawach, bo i tak to nie ty będziesz myślał. Podążaj za swoją gwiazdą. Żyj w domniemaniach społecznej rzeczywistości. Wystrzegaj się nauki. Wierz w Boga, na ile się da. Nie rozpamiętuj swoich porażek. Wygłaszaj racje swego istnienia do lustra w łazience.

Naprawdę nie lubięś tych facetów.

Cienki i Rumszytk zgrywali się na ogólnowiatowych strategów. Mieli za sobą zastępy ideologów i sztaby doradców. Prezydent tylko sprawował swój urząd. Łączyły go z tymi dwoma skomplikowane zależności. Musiał czasami czuć się stłamszony, upokorzony. Każda porada z ich strony, każde zalecenie, choćby jak najbardziej odpowiadało jego własnym przekonaniom, musiało budzić w nim urazę, nie sądzisz? Zorientowałem się, że posługuje się mną, żeby im dokuczyć. Poddawał ich próbie, kazał im słuchać moich wykładów o postępach w badaniach neurologicznych na świecie, choć wiedział, że to dla nich policzek. Dokładnie tak się wyrażał: Android (z tym swoim cwany uśmiechem), powiedz nam o postępach w badaniach neurologicznych na świecie.

Cóż, panie prezydencie, w Szwajcarii powstaje megakomputer, który ma być odpowiednikiem ludzkiego mózgu. Powoli, lecz zdecydowanie konstruowane są obwody imitujące synaptyczne, neuronowe połączenia. Nasz mózg, choć to nader złożony twór, składa się z określonej liczby elementów, które sprawiają, że działa. To oznacza, że stworzenie mózgu funkcjonującego w oderwaniu od ciała to tylko kwestia czasu.

Naprawdę?

To samo pytanie zadał Cienki, uśmiechając się ironicznie. Nie karmisz nas historyjkami ze starego filmu science fiction? Prezydent miał urwanie głowy z Cienkim i Rumsztykiem. Sam mianował ich na stanowiska, ale wyszło na to, że to oni podejmowali wszystkie ważniejsze decyzje. Wymyślił więc nowy żart, ogłosił, że prowadzę badania nad działaniem mózgowi decydentów, takich właśnie jak oni. Mieli na głowie poważne sprawy, prowadzenie wojny na przykład, a on bawił się ich kosztem.

Wasze mózgi wyglądają obiecująco, oświadczył im. Jak pola kryjące w sobie roponośne złoża.

Nawet nie próbowali kryć rozdrażnienia. W ich oczach prezydent był po prostu delfinem, dziedzicem swego ojca, ich zdaniem brakowało mu powagi, nie wspominając o umiejętności skupienia się na czymś przez dłuższy czas. Ich wiara w swoją intelektualną przewagę nad prezydentem klóciła się z prostym faktem, że on należał do wybrańców historii, a oni nie. Podchodząc do helikoptera, potrafił dumnie kroczyć, jak przystało na prezydenta, lecz brakowało

mu prawdziwej władczości, na którą oni we własnym przekonaniu potrafiliby się zdobyć, gdyby byli na jego miejscu. [zastanawia się] To właśnie tacy ludzie w innych krajach organizowali zamachy stanu.

Naprawdę aż tyle zauważyłeś?

Kiedy przebywałeś w jednym pomieszczeniu z prezydentem USA, stajesz się czujny. Moja obecność drażniła jego doradców. Tak bardzo rzucali się to w oczy, że nie mogłem się oprzeć i zgodnie z życzeniem prezydenta postanowiłem poddać ich eksperymentowi myślowemu. I tak uważali, że ukradkiem prowadzę na nich swoje badania, więc co mi szkodziło spróbować. Czy w dziejach Stanów Zjednoczonych taka okazja trafiła się kiedykolwiek zwykłemu obywatelowi? Musiałem jednak działać szybko. Należało się liczyć z tym, że prezydent niebawem straci zapal. Miałem niewiele czasu.

Cienki i Rumszytk pokonywali kolejne szczeble kariery w administracji rządowej, więc ich umysły dostroiły się do utartych obwodów neuronowych, które znajdowały wyraz w języku wojny, więzień, tortur fizycznych, władzy politycznej, plotek towarzyskich, seksu i pieniędzy. Wręczyłem im kartkę i ołówek i wyjaśniłem, na czym polega ich zadanie. Wykorzystałem do tego celu znajomy „dylemat więźnia”. Oczywiście nie wysyłałem ich po kolei za drzwi, jak uczniów w liceum, lecz każdemu z osobna, tak żeby ten drugi nie słyszał, kazałem wyobrazić sobie, że są spiskowcami dążącymi do obalenia rządu, a ponieważ współnik go zdradził, prezydent już o wszystkim wie. Każdy z podejrzanych ma do wyboru nic nie mówić albo donieść na swojego towarzysza i odpłacić mu w ten sposób pięknym za nadobne. Ich decyzje będą miały wpływ na wysokość wyroku, jakiego zażąda prokurator generalny. Mieli napisać na kartce, czy zdradzają swojego współnika, czy wypierają się wszystkiego.

Zgodzili się na to?

Przystąpili do dzieła ochoczo, jak para dzieciaków spragnionych zabawy. Usiedli na krańcach sofy w Gabinetie Ovalnym, odwrócili się do siebie plecami i pochylili nad kartkami. Marszczyli brwi, przymykali oczy, pocierali czoło, co świadczyło o wyczerpanej pracy intelektualnej. Na wszelki wypadek uprzedziłem ich, że nie wolno im na siebie patrzeć, nie mogą mieć ze sobą kontaktu wzrokowego. Myślę, że moja uwaga w ich przypadku była zbyteczna, ale gra miała swoje zasady. Jeśli zdradzisz swojego współnika, to sam się pograżysz, bo to jest równoznaczne z przyznaniem się do winy. Ale jeśli go nie wydasz, a on cię zdradzi, wtedy on jest puszczany wolno, a ty trafiasz do paki, i to na długo. Obaj możecie się wywinąć tylko wtedy, gdy żaden nie wyda współnika.

I co się okazało?

Ci faceci pełnili różne funkcje w kolejnych ekipach rządowych. W końcu dotarli na sam szczyt. Jak im się to udało? Znali od podszewki zasady rządzące polityką. Więc i jeden, i drugi, chcąc osiągnąć wynik najkorzystniejszy dla siebie w tej sytuacji, nie miał innego wyboru, niż zdradzić.

Prezydent miał ubaw, gdy pokazałem mu ich decyzje zapisane na kartkach. Przecież to łatwizna, stwierdził.

Na pewno cię tam zapamiętali.

Nie miałem złudzeń. Prezydent potrzebował kompana, druha, ale na jak długo? Wiesz, że wręczył mi znaczek z flagą, taki jak noszą ci waźniacy w klapie marynarki, na dowód tego, że są

patriotami?

Tak?

Udekorował mnie nim jak medalem. Należałem do grona wybrańców. Okazało się jednak, że moje urzędowanie na stanowisku dyrektora Biura Badań Neurologicznych przy Białym Domu dobiegło końca już po niespełna trzech tygodniach.

Z drugiej strony to jakby całe życie.

Owszem. Któraś popołudnia prezydent pokazał mi sypialnię Lincolna na pierwszym piętrze. Lincoln, rzecz jasna, nigdy tam nie sypiał, za jego czasów to pomieszczenie nie było niczyją sypialnią, służyło raczej za gabinet. W każdym razie ciężkie meble z epoki wiktoriańskiej i powłóczyste draperie tworzyły wystrój odpowiedni do sypialni Lincolna. Przywitałem lokatorów...

Lokatorów?

No wiesz, prezydent gości tam czasami jakichś hojnych ofiarodawców, którzy marzą o spędzeniu urzekającej nocy w Białym Domu. Mężczyzna i kobieta sprawiali wrażenie całkiem opanowanych, obecność prezydenta wcale ich nie deprymowała. Właśnie się rozpakowywali, siwizna mężczyzny świadczyła, że jest o kilka dekad starszy od kobiety. Gdy w grę wchodzi pieniądze, to przestaje mieć znaczenie. Stanęliśmy wszyscy przy biurku, na którym pod szkłem umieszczona była kopia przemowy gettysburskiej.

Zwiedzałeś sobie Biały Dom, można powiedzieć.

Młoda żona była wysoka i zgrabna, ale jej twarz wyglądała nienaturalnie, jakby pokryta emalią. Rzuciła mi obojętne spojrzenie, zdając się w ogóle mnie nie zauważać. Jej bujne włosy opadały złocistą kaskadą, lśniące i sztywne od lakieru. Gdyby była tu ze mną Briony, w pierwszej chwili z pewnością poczułaby się onieśmielona. Moje niewinne biedactwo, ten obszar amerykańskiego stylu życia był jej zupełnie obcy. Z kolei ta kobieta, na widok prostego dziewczęcego piękna Briony, uświadomiłaby sobie z dojmującym żalem, że zmarnowała życie, udając wyrafinowanie, którego tak naprawdę nie czuła.

To wszystko wyczytałeś z jej wyglądu?

Myśli o Briony wznosiły moje percepcyjne możliwości na wyżyny. Miałem wrażenie, jakby cząstka jej umysłu wciąż we mnie żyła.

Mówimy o kognitywistyce?

Niezupełnie. Raczej o cierpieniu.

X

Trzeba przyznać, że prezydent miał na biurku porządek. Ułożone równo kartki przytrzymywała szklana kula ze sztucznym śniegiem służąca za przycisk. Gdy się nią potrząsało, białe płatki sypały się na dziecko zjeżdżające z górki na sankach. Zacząłem współczuć staremu kumplowi ze studiów. Żył w poczuciu własnej nieudolności. Z okna w suterenie obserwowałem niemal niekończącą się procesję limuzyn dowożących generałów, admirałów, dyplomatów, członków gabinetu i zagranicznych dygnitarzy, których musiał przyjmować, ponieważ uchodził za przywódcę wolnego świata. Swobodnie czuł się za to na uroczystych galach, podczas których wręczał nagrody artystom: zaczynały się zwykle występami piosenkarzy, a po nich zasłużeni reżyserzy, pisarze i aktorzy otrzymywali stosowne odznaczenia. Na jedną z takich uroczystości zostałem zaproszony; usiadłem skromnie z tyłu, gdzie nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Zacząłem delektować się moją pozycją w Białym Domu. Przyjąłem wyznaczoną mi rolę w cichej batalii, jaką prezydent toczył ze swymi najbliższymi doradcami. Jakby w Gabiniecie Ovalnym musiano składać w ten sposób hołd panującej powszechnie na świecie kłótności. Jakby wojny, które prowadzili, musiały znaleźć odzwierciedlenie w ich wzajemnych stosunkach. Pomyślałem wtedy, że spór określa nasze człowieczeństwo. Z nabożeństwem praktykuje się wszelkie jego odmiany, od grzecznej debaty po gwałt i grabież, od podłych politycznych ataków po skrytobójcze zamachy. Nocne bójkę przed knajpami, sprzeczki małżeńskie w luksusowych sypialniach okraszone rękoczynami, groźby wypowiedane pod nosem na rozprawach rozwodowych. Do tego rodzice bijący dzieci, młodocieni oprawcy na szkolnych boiskach, zabójcy w garniturach i krawatach prący do celu po trupach, kierowcy zajeżdżający sobie drogę, ludzie rozpychający się łokciami na stacjach metra, narody, które prowadzą wojny, zrzucają bomby, tłoczą się na plażach, na porządku dziennym wojskowe przewroty, zaginięcia, uchodźcy dogorywający w obozach, czystki etniczne, walki karteli narkotykowych, zbrodnie terrorystów, przy czym każdy przejaw przemocy znajduje usprawiedliwienie w jakiejś religii. A dla rozrywki narodobójcza, ludobójcza, samobójcza populacja homo sapiens ogląda mordobicie i kopanie na

ringu, walki kogutów albo przepuszcza całą wypłatę przy stoliku karcianym, a potem wraca do pracy i bezwzględnie wyniszcza konkurencję, wyludza, tworzy piramidy finansowe, truje... a namiętni kochankowie naszych czasów bezustannie ścierają się w swym małym wszechświecie seksu, jedno uparcie się go domaga, a drugie z miną cierpiętника odmawia.

Niczego nie pominąłeś?

Zatem sprowadzono mnie tam, jak się domyślałem, żeby mój dawny kolega zaznał nieco przyjemności w osobliwej rozgrywce, jaką prowadził z Cienkim i Rumsztykiem. Przy czym musiał zarządzać państwem, a oni byli jego najbliższymi doradcami, więc siłą rzeczy potrzebował ich tak jak oni jego. Zdążyłem przedstawić kilka kolejnych raportów Androida z postępów w badaniach neurologicznych na świecie, kiedy w dynamice interpersonalnej zauważyłem niejaką zmianę. Któregoś dnia w pewnej chwili przybrali taki sam wyraz twarzy, jakby powstrzymywali się od śmiechu, i zrozumiałem, że zgodnie z piękną tradycją dyplomacji zawiązali nowy sojusz. Teraz ja samotnie musiałem zmierzyć się z triumwiratem, stałem się celem podchodów – tych trzech zmówiło się, żeby zrobić ze mnie głupca, wcisnąć mi na głowę bladeńską czapkę z dzwoneczkami, podczas gdy świat czekał na wybuch kolejnej wojny domowej, kolejny krach na giełdzie, kolejny samobójczy zamach, kolejne tsunami, kolejne trzęsienie ziemi, kolejny wyciek radioaktywnej substancji z kolejnego uszkodzonego reaktora – zgrywy, w której chodziło o to, żeby Android jak najpóźniej się zorientował, że się nad nim pastwią, że używają sobie na nim ile wlezie, a ja zapewniam im trochę rozrywki w tej mrocznej, klótlivej codzienności, w której dźwigają na swoich barkach ciężar losów całego świata.

Więc kiedy przyszła ta chwila oślnienia, należało pokazać im, z kim mają do czynienia. Wygłosiłem ostatni wykład Androida na temat postępów w badaniach neurologicznych na świecie. Naświetliłem im doniosłą kwestię, z jaką zmagają się neurobiologia. Chodzi o to, w jaki sposób mózg staje się umysłem. Jak to się dzieje, że ten twór wielkości kłębka wełny sprawia, że czujemy się ludźmi. Stwierdziłem, że prowadzone w tym zakresie badania mogą wiele zmienić, więc jeśli cenią sobie obecne życie, mądrze robią, przekierowując rządowe środki na rozwój neurobiologii do budżetu zbrojeniowego. Rakiety, miny lądowe, myśliwce odrzutowe to są dziś wasze ukochane zabawki, powiedziałem im. A kiedy już zrozumiemy, w jaki sposób mózg obdarza nas świadomością, będziemy mogli ją powielić. Chyba rozumiesz, o czym mówię, doktorku?

Tak mi się wydaje.

Masz na myśli komputery, z którymi można rozmawiać? – odezwał się Cienki. Widziałem coś takiego na filmie. Komputery, jasne, odparłem, ale także genetycznie udoskonalone zwierzęta wyposażone w świadomość o wiele bardziej rozwiniętą niż w stanie naturalnym. Mówię o odczuciach, stanach umysłu, pamięci, pragnieniach. Zupełnie jak u Disneya, stwierdził Rumsztyk i wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Ja też się roześmiałem. Owszem, odparłem, to oznacza zmierzch złotej ery ludzkości, trwającej nieprzerwanie od epoki brązu. Kres naszego panowania. Biblia i wszystkie opowieści, jakimi się do tej pory karmiliśmy, staną się przeżytkiem.

Naprawdę tak uważasz, Andrew?

Jakże oni byli oderwani od rzeczywistości! Zadufani w sobie krzewiciele kultury korporacyjnej, sternicy państwowej nawy. Beztroscy, nieomylni. Wiedzieli, co to spór, i niczego

innego nie oczekiwali. Oświadczyłem im, że przebywanie z nimi w jednym pomieszczeniu wprawia mnie w przygnębiecie. Prezydent spojrział na mnie – czy jego też miałem na myśli? Przyjmujecie bez zastrzeżeń społeczną rzeczywistość, w której obrębie toczy się wasze życie, świat wojen, Boga i pieniędzy wymyślony przez innych dawno temu, mówilem, i mylicie ten sztuczny twór z autentycznym istnieniem. Palnąłem im wtedy niezłą mówkę.

Najwyraźniej.

Wygarnąłem im, że nie szanują życia, że stanowią wzorcowe przykłady ludzkiej ułomności, i oświadczyłem, że znam się na tym jak mało kto. Potem wziąłem głęboki oddech i zrobiłem stójkę.

Co takiego?

Coś mnie napadło i niemal bez zastanowienia stanąłem na rękach. Może natchnęło mnie do tego wspomnienie Briony ćwiczącej na drążku, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Mój mózg stwierdził, że tego właśnie było trzeba, takiego ruchonastadowczego zabiegu, żeby tam, w Białym Domu, przywołać jej obraz. A może tak to interpretuję teraz, z perspektywy czasu. Wtedy wydawało się to płynącym ze szczytnych pobudek szaleństwem. Chyba to po prostu mój mózg uznał, że jeśli chcą głupca, to będą go mieli. A może tylko chciałem się stamtąd wyrwać.

Naprawdę to zrobiłeś?

Przecież mówię. Nigdy przedtem nie wyszła mi porządna stójka. W Gabinetcie Ovalnym nie byłem sobą.

I wtedy, kiedy tak stał na rękach, z trudem starając się zachować równowagę, czując w ramionach przeszywający ból, przebijając w powietrzu nogami, które kursowały tam i z powrotem jak czółenka w krośnie, Andrew popłakał się, z wysiłku, a może na wspomnienie Briony, jej uśmiechniętej twarzy, jej czystych błękitnych oczu mierzących go w swej niezłomnej niewinności. Co do mnie mówiła? Słyszałem jej głos, jej niemy głos: „Idę biegać, Andrew. Willa lubi z rana tarte jabłko”. Potem drzwi się zamykają, a ona, zgrabnie niczym baletnica, skacze w ogień.

Chyba jęknąłem, krew pulsowała mi w skroniach, ale postawiłem sobie za punkt honoru wytrwać w tej pozycji jak najdłużej. Prezydent, Cienki i Rumsztyk zerwali się z krzesel, Cienki stanął za biurkiem prezydenta i krzyczał coś do telefonu. Dłużej nie mogłem wytrzymać, ale nie udało mi się zakończyć pokazu w odpowiednim stylu – runąłem na podłogę z hukiem, objając się boleśnie, i niemal natychmiast, jak mi się wydaje, dwójka żołnierzy w mundurach piechoty morskiej poderwała mnie na nogi i wykręciła do tyłu ręce. Moje ciało tego dnia sporo się nagimnastykowało.

Najwidoczniej.

Słucham?

Przyznałem ci rację.

Wątpię, czy ktoś wcześniej zrobił stójkę w Gabinetcie Ovalnym. Ale osiągnąłem coś więcej. Odniosłem prawdziwe zwycięstwo. Na chwilę wzniosłem się ponad znaną dla mnie pokorę, ponad zwyczajność szarego obywatela, i stając do góry nogami, dorównałem rządcom mego kraju. Albowiem w przeciwieństwie do nich znałem przyszłość. Chociaż z tych wszystkich

opowieści, jakie snułem o moim życiu, może trudno było wywnioskować, że mam zdecydowane polityczne zapatrywania. Stałem obezwładniony przez dwóch żołnierzy, a Cienki i Rumszytk deliberowali nad moim przyszłym losem. Kazali mnie aresztować. Rumszytk stwierdził, że nastawałem na życie prezydenta. Wyprowadźcie stąd tego głupca, zarządził.

Jeżeli już, to Bożego Głupca, powiedziałem.

Tak właśnie się czułeś?

A czy mogłem wcielić się w inną rolę, skoro mój koleżka ze studiów okazał się Samozwańcem? Bo bez wątplenia nim był. Postanowiłem, że nigdy więcej nie będę jak chorągiewka na wietrze. Czułem, jak mój mózg staje się mną – stopiliśmy się w jedno. Gdy wyprowadzali mnie z gabinetu, odwróciłem się jeszcze i oświadczyłem, jak przystało na Bożego Głupca: „Jak dotąd jesteś najgorszym z rządzących, niestety, po tobie nastaną jeszcze gorsi. Może jeszcze nie jutro, może nie w przyszłym roku. Ale pokazałeś nam drogę wiodącą w głąb Mrocznego Lasu”. Zabawiłem się w Dantego, jak sądzę. Mojemu koleźce to się nie spodobało. Och, daj spokój, Android, zawołał, przestań smęcić. Czyżby chciał, żebym odwołał to, co powiedziałem? Oczekiwał z mej strony błogosławieństwa? Ale jak mogłem go pobłogosławić? Przecież Boży Głupiec oplakuje los swego kraju, takie jest jego zadanie.

Wyprężyłem się, skinałem głową i żołnierze wyprowadzili mnie z gabinetu.

XI

Powiedz mi, doktoruku, jak długo mnie tu trzymacie?

Minęło trochę czasu.

I nie powiesz mi, gdzie jesteśmy?

Nie mogę.

Na pewno nie w Stanach.

Skąd wiesz?

Tu jest inne powietrze. Dużo łagodniejsze. Czuje się w ustach jego wyraźnie słodki wiosenny smak. W Nowym Świecie nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Myślę, że znajdujemy się w krainie łagodnych wzgórz, polnych kwiatów i altanek porośniętych winoroślą. Nie widzę, co jest za murami, ale w czasie spacerów po dziedzińcu słyszę ptaki, zupełnie inne niż u nas. A wieczorem późno robi się ciemno. Podejrzewam, że umieściliście mnie gdzieś w Europie nad Morzem Śródziemnym. Ogólnie nie jest źle – tortury nie dają mi się we znaki, dręczy mnie jedynie świadomość tego, co mi się przytrafiło. Poza tobą nie mam do kogo się odezwać, nie wyznaczono mi obrońcy, jestem przetrzymywany bez rozprawy, w nieskończoność, jak się wydaje. A wiesz, że to czas niebiański? Jestem skazany na obracanie się razem z planetami, na odliczanie słońc, księżyców, pór roku... Uważasz, że nastawałem na życie prezydenta?

Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że nie.

A ja mimo to nie mam ci za złe, że wykonujesz rozkazy i jesteś zerem. A wiesz dlaczego?

Dlaczego?

Gdyby nie to, że mogę z tobą porozmawiać, zagryzłbym się w samotności.

Niepotrzebnie się martwisz.

Mam na półce dzieła zebrane MT, ale kto wie, jak długo jeszcze uda mi się pozostać przy zdrowych zmysłach. A jeśli ja zwariuję, czy cały kraj nie pójdzie niebawem w moje ślady?

Twierdzisz, że jest jakiś związek?

Kończąc się we mnie wizje i urojenia, czyni i słowa nieznanymi mi ludzi. Słyszę nieme głosy, z otchłani snów powstają zjawy i wydostają się z mego umysłu, zarysowują się na ścianie, tkwią tam niczym na ekranie, kulą się przerażone, wiją się w katuszках, bez słów wołają do mnie o pomoc. Czego wy ode mnie chcecie! – krzyczę i opadam na łóżko, wpatrując się w czarny

sufit, a mój pokój staje się pogrążoną w mroku salą kinową, w której zaraz rozpocznie się projekcja kolejnego filmu grozy. To jawne naruszenie mojej integralności. Tylko wiara, że nauka zdoła to jakoś wytłumaczyć, pozwala mi wytrwać. Może przechowuję w materii mojego mózgu neuronalny zapis minionych stuleci. Ty na pewno nigdy czegoś takiego nie przechodziłeś, z nadmierną ufnością przyjmujesz wszystkie swoje doświadczenia. One żyją w tobie, rozrastają się, przepelniając do granic twój mózg. Ale kiedy ktoś jest wyprany z uczuć tak jak ja...

Oho, znów do tego wracamy?

...pojawia się szansa na to, żeby uśpione genetyczne drobinki z zamierzchłych czasów ujawniły się w snach.

Mówimy o kognitywistyce?

Niezupełnie. Wciąż jeszcze o cierpieniu.

Powiedz, doktorku, czy jestem komputerem?

Co?

Czy jestem pierwszym komputerem obdarzonym świadomością? Z koszmarami sennymi, uczuciami, cierpieniem, pragnieniami?

Ależ skąd, Andrew, jesteś człowiekiem.

No tak, takiej odpowiedzi można się było po tobie spodziewać.

Widzę, że zapuściłeś włosy i brodę. Wypisz, wymaluj Boży Głupiec. Ale brakuje ci czegoś.

Tak?

Czapki baseballowej z emblematem Jankesów. Trzeba odświeżyć twoją garderobę.

Ile lat ma już Willa?

Dwanaście.

Gdzie oni teraz mieszkają?

Przerabialiśmy to już...

Gdzie?

W New Rochelle.

W tym samym domu co przedtem?

Tak.

Martha i jej zwałisty mąż?

Tak.

I potrzebują mojej zgody na piśmie? Po co? Każdy sędzia wyda orzeczenie na ich korzyść – Martha wychowuje ją od niemowlęctwa. A ja jestem zamachowcem, który dybał na prezydenta.

Nie jesteś zamachowcem.

Tak czy siak moja sytuacja w świetle prawa nie przedstawia się dobrze, prawda?

Zrób to dla dobra dziecka. Tu są dokumenty.

Więc Borys Godunow, ten pijaczyna, ten Samozwaniec, ma zostać prawnym ojcem mojej córki?

Chodzi na spotkania AA. Przestał pić.

Kiedy się zeszli ze sobą, ci kochający małżonkowie?

Kilka lat temu, tak myślę. Trzy albo cztery.

A dokąd Martha zabrała moje dziecko, kiedy wyniosła się z domu?

Jak już ci mówiłem, Martha zamieszkała w małym miasteczku w zachodniej Pensylwanii.

Na farmie, którą odziedziczyła po wuju i ciotce.

Stać ich na to, żeby zapewnić mojej córce dobrobyt, na jaki zasługuje?

Oboje zarabiają. Ona znów uczy gry na pianinie, a on prowadzi mistrzowską klasę śpiewu. Są wykładowcami w Juilliard School.

Tutaj jest napisane, że Willa nie może się o mnie dowiedzieć. Że nie będzie mi wolno się do niej zbliżyć, ujawnić jako jej biologiczny ojciec...

Jest przeświadczona, że Martha jest jej matką. Nie ma powodu sądzić inaczej. Ale nie wiem, jaki dokładnie będzie status prawny męża Marthy.

...i nigdy się nie dowie, że jej prawdziwa matka zginęła, ratując innych.

Jesteś o tym przekonany?

Tak.

Nie wyobrażam sobie, żeby chcieli o tym mówić dziecku.

No to do diabła z nimi!

Och, na miłość boską, nie możesz dla odmiany zachować się rozsądnie? Choć raz pomyśl o innych.

Och, doktorku, ależ ja myślę o innych. Bez przerwy myślę o dwóch dziewczynach mojego życia. Chcę czytać im jak MT swoim córeczkom. Opowiadał im przed snem różne historyjki. „Moje opowiadania koją lepiej niż wyciąg z opium i działają szybciej”, mówił.

Andrew, proszę...

Zapisał jedną taką bajeczkę na użytek innych ojców. Starał się, aby każde wymienione w niej imię, oraz jak najwięcej słów, zawierało w sobie wyraz „kot” – kotyliion, koturn, koteria. Dziewczynki przerywają mu co chwila, pytając: „A co to jest kotodrom, tato?”. Zaraz sprawdzę, odpowiada i udaje, że zagląda do słownika. „Ach, to tor wyścigowy dla kotów. Myślałem, że to kręgielnia, ale koty nie grają w kręgle, kiedy są w pełni sił, lecz harczą”. „Dziękujemy, tato”, odpowiadają dziewczynki. „Ależ proszę”, odpowiada i wznawia opowieść.

Andrew...

MT plół androny swoim córeczkom do poduszki. Że jest ich obrońcą, a świat w porze dobranocki to bezpieczne i przytulne miejsce. Że gdy dorosną, przypomną sobie jego opowiadki i roześmieją się, przepełnione miłością do ojca. Że w tym jest jego odkupienie.